

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 11 (1747) 15-21 marca 2024



**Duży problem
z małymi
jądrami** str. 3

**ZWIERZCHNIK
SIŁ
ZBROJNYCH**



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

 Tygodnik NIE

 Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

Prezydent z premierem polecili do Ameryki, razem, ale osobnymi samolotami, żeby usiąść na kolanach wujka Joe. Anżej na prawym, a Donek na lewym (co akurat uważamy za niejake nadużycie, ale były tylko dwa do wyboru). Wujek pochwalił ich – i nas wszystkich, Polaków – że jesteście w NATO już 25 lat i dużo nas to kosztuje. Prezydent RP uznał, że innych też powinno, i zażądał podniesienia natowskiego obowiązku wydatków na zbrojenia do 3 proc. PKB. „Ja uprzedzałem pana prezydenta, że nie będzie entuzjastycznej odpowiedzi na jego propozycję” – ogłosił premier i dodał, że „pan prezydent miał też swoje argumenty, mówiąc, że jest gotowy zaryzykować, powiedzieć: trzy procent, to może to zmobilizuje tych, którzy nie płacą nawet dwóch procent, podziela na nich jak taki zimny prysznic”. Istnieje supozycja, że Tusk po prostu pozazdrościł Dudzie pomysłu, albowiem szał militarny łączy ich ponad podziałami.

Wycieczka odbyła się pod pretekstem 25. rocznicy wnatowstąpienia. Przy tej okazji z odmetów przeszłości wypełzły różne szczęśliwie zapomniane postacie, które pucowały się do zasług na tym odcinku. Między innymi Leszek Miller, który pochwalił się swoją rolą w rehabilitacji Ryszarda Kuklińskiego. „Odwiedził mnie przyjaciel pana Kuklińskiego. Zapytałem go, dlaczego przychodzi z tym do mnie, przecież ja nie jestem ani szefem MSZ, ani szefem MSW... A on odpowiedział: »Ale pan jest Leszkiem Millerem«”. Dziennikarz przeprowadzający wywiad zapytał uprzejmie: „W tym kontekście, że jak Leszek Miller zostanie przekonany do rehabilitacji Kuklińskiego, to potem już pójdzie jak z płatka?”. Leszek Miller odpowiedział skromnie: „Że jak Leszek Miller się przekonają, to się zaangażuje. A jak się zaangażuje, to są jakieś szanse, żeby sprawę załatwić”. W zasadzie nie wiemy, co nas bardziej żenuje: czy to, że sekretarz KC nie wstydi się swojego udziału w rehabilitacji zdrajcy, który poinformował wroga o planach obronnych Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, czy fakt, że Leszek Miller nie widzi śmieszności w mówieniu o sobie w trzeciej osobie.

Pracowała komisja śledcza do spraw afery wizowej. Nam najbardziej spodobała się świadek Racyńska, dziewczę rocznik 1997, pochwycone przez MSZ bezpośrednio z młodzieżówki PiS, legitymujące się doświadczeniem pracy wakacyjnej w oddziale banku Santander. Maria Wiktorina Racyńska, zatrudniona w gabinecie politycznym ministra Raula w charakterze asystentki wiceministra Wawrzyka, zasiadła przed komisją z włosym rozwiniętym i młodzieńczo pewnością siebie i opowiedziała bez jakiegokolwiek skrępowania, jak na komunikatorze odbierała od Edgara Kobosa znikające wiadomości z listą nazwisk kandydatów do wiz, ale przekazywała je już telefonem służbowym zwykłym esemesem, więc było OK. Pani Racyńska zdecydowała się zabrać głos, albowiem zranił ją fakt, że konsul RP w Mumbaiu kazał choreografowi pokazywać kroki taneczne, a choreograf to nie jest tancerz, więc polecenie naruszało jego godność człowieka.

Gównoszorm, także na oceanie polskiej polityki, wywołał papież Franciszek, który w wywiadzie dla szwajcarskiej telewizji wspominał o konieczności ukraińsko-rosyjskich rozmów pokojowych i „odwadze białej flagi”. W polskiej telewizji dyskutowali na ten temat: obecny wiceminister spraw zagranicznych z lewicy i były wiceminister obrony narodowej z PiS. „Bardzo mi przykro, że usłyszałem takie słowa z ust papieża Franciszka, co do którego my też jako lewica mieliśmy pewne oczekiwania społeczne. Takie słowa nie powinny paść, nie ma negocjacji z terrorystami, Putin powinien stanąć przed trybunałem sprawiedliwości, zostać osądzony, skazany i pójść do więzienia. Mówię trochę emocjonalnie, ale uważam, że papież posunął się za daleko” – ekscytował się Andrzej Szejna. „Zawsze trzeba być otwartym na dialog, celem Rzeczypospolitej nie jest zniszczenie czy anihilacja Rosji” – polemizował Marcin Ociepa. Czy tylko nam się wydaje, że coś jest nie tak z tym podziałem ról?

Minister zdrowia Izabela Leszczyna ogłosiła projekt rozporządzenia, według którego szpital odmawiający pacjentce legalnej aborcji straci kontrakt z NFZ i może se wsadzić klauzulę sumienia. To słusna decyzja. Gorzej, że rząd nie może się dogadać między sobą, co to jest „legalna aborcja”. Rozporządzenie Leszczyny mówi o ciąży, która stanowi zagrożenie dla życia lub zdrowia kobiety ciężarnej lub powstała w wyniku czynu zabronionego. Donald Tusk tymczasem głosi odwrotnie, że „pseudowyrok trybunału pani Przylębskiej” nie istnieje, a zatem nie zmienił prawa w Polsce, co oznacza, że skrobać można także plody popsute. Interesująco sprawę naświetla Adam Bodnar: „Chciałbym przygotować wytyczne dla prokuratorów, jak należy postępować, co należy robić, żeby zmienić atmosferę wokół pewnych spraw, tak żeby była jasność co do tego, kiedy przepisy mają być egzekwowane, a kiedy nie”. Jesteśmy całym sercem za legalną aborcją – może jednak odpowiedź ministra sprawiedliwości na to pytanie powinna brzmieć: „zawsze”?

Ministra edukacji Barbara Nowacka, pytana o koszty zbrojeń i ich ewentualny wpływ na wydatki na edukację, zapewnia, że wpływu takiego nie będzie. „Żeby Polska była odporna, potrzebna jest dobra edukacja. Potrzebne jest jeszcze więcej odporności, jeszcze więcej informacji o obronności, na pewno trzeba poważnie rozmawiać z młodymi ludźmi o tym, czym jest patriotyzm, jak ważna jest miłość ojczyzny, jak ważna jest jej obronność. Ale to też kwestia obrony cywilnej, czyli jak się przygotować na wypadek, gdyby działo się coś złego: gdzie są najbliższe schrony, jakie są sygnały alarmowe, co robić, kiedy taki sygnał się usłyszy”. My to pamiętamy z dzieciństwa: przykręcić się białym prześcieradłem i czołgać powoli w kierunku Powązek.

AWŁ

Z URNY URBANA

Temat aborcji wciąż na czasie, episkopat – też. Przypomnijmy refleksje Urbana wokół tych zagadnień z kwietnia 2016 r.

Pierdolenie bez ratunku

Czerwone oraz fioletowe pasy i nosy, czyli episkopat, domagają się karania przez państwo aborcji w każdych okolicznościach. Broń Boże nie znaczy to, że chce, aby stosować przymus państwowy za łamanie kościelnych zakazów i nakazów. I wcale nie uważa kobiet za opakowanie ciąży. Biegła w biologii hierarchia katolicka ustaliła, że jeśli plemnik spenetruje jajeczko, staje się ono człowiekiem. Kodeks karny uznaje zabójstwo człowieka za ciężką zbrodnię, co powinno mieć zastosowanie do jajeczka. Specjalna ustawa odnosząca się do ludzi-jajeczek i ich pochodnych jest więc złagodzeniem kar, czyli aktem chrześcijańskiego miłosierdzia. Nie rozumie tego 80 procent ludzi, czyli owieczek wyklutych z jajeczka.

Biskupi nie wyjaśniają, w jaki sposób ich korporacja ustaliła człowieczeństwo zarodków, chociaż one mają mniejsze zdolności niż bakterie, a pod każdym względem ustępują świeżo urodzonemu szczurowi. To tajemnica wiary. Kościół nie daje też pełnej definicji człowieczeństwa. Zarodek raczej nie jest homo sapiens, bo nie myśli. Nie ma też właściwej człowiekowi – jak naucza kler – wolnej woli. A ta stanowi religijne oszustwo zresztą. Wszystkie dzieci są zniewolone i większość dorosłych także, choć w różnym stopniu i na rozmaity sposób, m.in. przez wiarę. Stosunkowo bardziej wolni są więc wolnomyśliciele, chyba że pracują na śmieciówkach.

W zoo uwięziony w klatce goryl miewa więcej wolności niż katolik, bo w Wielki Piątek mógłby jeść golonkę, gdyby lubił. Kościół stwierdza nienaruszalność ludzkiego życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Co to znaczy „naturalna”? Żołnierz zabity na wojnie miał według katolików śmierć naturalną, a samobójca nienaturalną, chociaż umarł z wolnej woli.

Karanie za niszczenie zarodków potworków, zarodków zagrażających życiu matki to nie ostatnie, ale pierwsze żądanie episkopatu wobec reżimu popieranego przez ten zarząd Ko-

ścioła. Nasuwa się tu zakaz sprzedaży środków antykoncepcyjnych i odsiadka za ich używanie. Byłaby to ochrona życia nie poczętego stosowana bynajmniej nie z przyczyn religijnych – wręcz przeciwnie. Policja na zlecenie biskupów toczyłaby wojnę z prezerwatywami i pigułkami w imię neodarwinizmu. Czyli nauki o ewolucji i doborze naturalnym, wrogiej Kościołowi. Neodarwiniści zwalczają kreacjonizm, czyli odwoływanie się do aktów stworzenia jako źródła życia. Współcześni uczniowie Darwina twierdzą, że celem wszystkiego, co żyje, a więc także człowieka, jest przekazywanie genów jednostki, krewnych i gatunku. Zapobieganie ciąży jest więc sprzeczne z celami ewolucji, gdyż stanowi zaporę przeciw dziedziczeniu genów. W tej sprawie Kościół gotów jest odmrozić sobie uszy, czyli poprzeć naukę, a nie religię.

Kolejne narodowo-katolickie prawo, którego biskupi jako protektorzy reżimu oczekują od PiS, to oczywiście likwidacja rozwodów. Nierozwalne byłoby małżeństwo cywilne udzielane przez księży, a także zawierane w urzędach stanu cywilnego. I bynajmniej nie o to chodzi, żeby jedynym wyjściem było unieważnianie także cywilnych związków przez konsystorz. Państwo musi uczynić małżeństwo nierozwalnym, aby uczyć poddanych konsekwencji i odpowiedzialności. Jak się zobowiązują trwać w małżeństwie, to nie ma wybacz. Nie będzie się jednak karać za życie na kocią łapę, chociaż to grzech jak cholera. Zauważmy jednak, że wierność małżeńska nie sprzyja rozsiewaniu własnych genów.

Jedźmy dalej. Konstytucja gwarantuje wolność niewiary. Można być ateistą, a nawet homoseksualistą. Karane więc będzie tylko publiczne manifestowanie takich przekonań czy orientacji. Nie dlatego, że Kościół ich nie lubi, lecz ponieważ dążą do rozbijania naszej wspólnaiej narodowo-chrześcijańskiej wspólnoty, która w państwie nareszcie jest suwerenem.

Kolejna dobra zmiana w prawie to zakaz i karanie prostytutki. Budżet obficie wyposaża

zakony żeńskie i męskie, aby prowadziły zamknięte zakłady reedukacji kurew odpowiedniej płci. Chodzi w tym o takie ograniczenie wolnego rynku, aby przedmiotem sprzedaży było wyłącznie to, co znajduje się na zewnątrz człowieka. Minister nauki i wprost przeciwnie – szkół wyższych – zgłosił tu poprawkę. Powie, że wyjątek należy zrobić dla zawartości ludzkiej głowy, gdyż jej produkty są na sprzedaż. Episkopat nie przychylił się do uzasadnienia. Warknie oschle, że do zawartości mózgow trzeba podchodzić selektywnie. Roi się bowiem od umysłów zdegenerowanych przez komunizm, ateizm, Unię Europejską, liberalizm i KOD.

Następnie plenum fioletowych i czerwonych zażąda mianowania Chrystusa królem Polski. Wobec nieobecności wniebowziętego monarchy jego obowiązki pełnić będzie wielokrół Duda.

Na koniec biskupi zapragną zmiany w konstytucji i ustanowienia dwuizbowego senatu. Izby niższej cywilnej i izby wyższej złożonej z setki biskupów. Nie gwoi ich chwały. Wszak papież Franciszek, szef katolickiego PR, zachwala skromność i ubóstwo. Tym sposobem nawiąże się do tradycji mocarstwowej Polski od morza do morza, w której biskupi z urzędu byli senatorami.

Teraz wyobraźmy sobie, że po wyborach partia Kaczyńskiego idzie do opozycji, a władzę obejmuje Razem. Co Zandberg zrobi z tym ustawowym pasztetem?

Cóż, Kościół w Polsce trwa 1050 lat, a państwo ogólnopolskie lub jakiekolwiek funkcjonuje o kilkaset lat krócej. Przy tym społeczeństwo tak nawykło do oddychania zepsutym powietrzem, że świeżym już nie potrafi. Kaczyński zaś ma jedną zaletę: co prawda rozsiewa pieniądze podatników, ale swoich genów nie.

URBAN

TRYBUNA LUDZI

W co się mamy uzbroić, żeby wszystkich odstraszyć?

Facebook

Krzysiek Rychlik: Roboksiądz bojowy, pół pedofil, pół armatka z wodą święconą.
Anna Maria Pantera: W różańce bojowe oczywiście! Wróg padnie ze śmiechu.
Andrzej Żmuda: Uzbrojmy się w Amerykanów!
Alacja Pogoda: W Macierewicza i jego prawy prosty.
Maciej Dadej: Jezus ze Świebodzina nas uchroni.
Iwo Scholz: Słyszałam, że brzozy mogą być pomocne w obronie przeciwpowietrznej.
Adam Moson: W parkam.
Piotr Nitka: Tylko Godzilla nas uratuje!
Monika Rech: W ołtarze polowe i różańce,

bo żeby jakkolwiek polski czołg wypuścić na ulicę, to trzeba zgodę konserwatora zabytków, więc uratuje nas tylko modlitwa.

Amadeusz Andrejewski: W kupę na patyku.
Cezary Tracz: Wystać na barykady europejski zjednoczonej prawicy.
Robert Buchowicz: Kosy na sztorc.
Tomasz Kotarski: W potężne radary uszne śp. Jerzego Urbana, żeby w porę wykryć zagrożenie.
Jakub Bojanowski: Myślałem, że ostatnie osiem lat rządów wszystkich odstraszyło.

Forum

Arend: W cierpliwość.



Fryz: TOMASZ WIATER

PRASA ŚNIADANIOWA

- Prof. Grzywacz w „Naszym Dzienniku” apeluje, aby w kontekście lasów nie mówić o wycince, tylko o odmłodzeniu. Czy można panu profesorowi odmłodzić kutasa?
- Papież Franciszek poradził Ukrainie, aby miała odwagę wywiesić białą flagę. Dla równowagi niech Putin wywiesi tęczową.
- Portal Fronda.pl zastanawia się, czy za Hołownię na front pojedzie żona. Nie, oficerowie Wojska Polskiego niech siedzą w kuchni i lepią pierogi.
- Dominik Tarczyński stwierdził, że Tusk pewnie wyblagał spotkanie z Bidenem. Dokładnie, Tusk jęczał, że ma chorą Polskę.
- Zbigniew Boniek powiedział o CPK, że to niepokojący przejaw gigantomanii. Niemożliwe, Jarosław Kaczyński nie ma kompleksu małego.
- Polska znalazła się w czołówce państw z wysoką biegłością angielskiego. W Polsce przykład nie płynie z góry.

MARTA M.

Srać na SMR-y.

„Komu bije dzwon?”, pytał retorycznie Ernest Hemingway. Bije on nam, bo podobno już w 2030 r. powstanie pierwszy w Polsce mały modułowy reaktor jądrowy (SMR). Na starcie mają być 24 reaktory w sześciu lokalizacjach, a ich powstanie będzie zasługą Orlen Synthos Green Energy (OSGE), cudownego dziecka państwowego Orle- nu i koncernu Synthos, należącego do najbogatszego Polaka – miliardera Michała Sołowowa. OSGE opiera się na amerykańsko-japońskim joint venture General Electric i Hitachi. To ma być reaktor typu BWRX-300, należący do tzw. reaktorów wodno-wrzących (BWR), o stosunkowo niewielkiej mocy – 300 megawatów.

Generalny Dyrektor Ochrony Środowiska (GDOS) kilka tygodni temu wydał postanowienie określające wymagania dotyczące zakresu raportu środowiskowego dla budowy SMR-u w małopolskich Stawach Monowskich. Prezes OSGE Rafał Kasprów ogłosił triumfalnie: „Przygotowanie raportu o oddziaływaniu inwestycji jądrowej na środowisko to jeden z najważniejszych elementów procesu inwestycyjnego. I zarazem jeden z najtrudniejszych”. To pierwsza taka decyzja w Unii Europejskiej, ale nie jesteśmy do końca pewni, czy jest się z czego cieszyć.

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW) miała zaopiniować negatywnie projekty OSGE, lecz jej decyzja wciąż jest tajna, więc nie wiadomo, w czym widziała problem. Jeśli jednak ABW wykonała solidnie swoją robotę, to powinna zająć się samą technologią SMR (czy też różnymi technologiami, które pod tym pojęciem określeniem się ukrywają), która jest jak węzowy olej u obwoźnych hochsztaplerów na Dzikim Zachodzie: jest tak cudowna, że aż trudno w to uwierzyć. Nie bez kozery – nie powinno się w ich efektywność w ogóle wierzyć.

Zacznijmy jednak od chóru zgodnie piejącego pieśń ku chwale małego modułowego atomu.

Atomowy zawrót głowy

Prof. Wacław Gudowski z Narodowego Centrum Badań Jądrowych w zeszłym roku stwierdził wprost, że może przyjąć zakład, że przed rokiem 2030 będziemy mieć pierwszy SMR w Polsce. Powagą swego profesorswa zauważył autorytatywnie: „Małe reaktory są dziś realne do wprowadzenia i nie skończy się tak »jak zawsze«, gdyż teraz nie pojawiło się »okno możliwości«, a »okno konieczności«”.

Prof. Gudowski, jak raz doradca OSGE, podkreśla w mediach, że SMR-y są modułowe, „ich stawianie przypomina budowanie z klocków Lego. Ogromna większość elementów powstaje w fabrykach, następnie poszczególne części transportowane są na plac budowy i składane. Zaletą takiego rozwiązania są niższe koszty, a równocześnie wnikliwa kontrola jakości elementów wykonywanych na taśmie fabrycznej. Owa modułowość jest też rozumiana w drugim aspekcie – umożliwiła dobudowanie w większej turbiny drugiego, trzeciego reaktora. Można uruchomić jeden reaktor, a kolejny budować w czasie, gdy ten pierwszy będzie już produkował energię. To powoduje niższe ryzyko inwestycyjne, mniejsze zagrożenie opóźnienia budowy”.

Jak zaznacza Gudowski, SMR-y to stara technologia, sięgająca połowy ubiegłego wieku. Ale coś się zmieniło: pojawiły się wreszcie „technologie pozwalające na to, by dziś wszystko zrobić szybciej, lepiej, taniej i bezpieczniej”.

Duży problem z małymi jądrami



Rys. MARCIN CHUDZIK

I wtórują mu wielcy tego świata. Takie tuzy jak Bill Gates, Barack Obama i Emmanuel Macron przekonują, że to świetne źródło energii na przyszłość. Niezawodne, a nade wszystko, zgodnie z zasadą „małe jest piękne”, bezpieczniejsze, tańsze i szybsze w budowie niż tradycyjne standardowe reaktory atomowe. Bo te zwykłe reaktory są niebotycznie drogie i ich stworzenie od planu do uruchomienia trwa wiele lat, zwykle ponad dekadę. I zawsze ich powstanie jest droższe, niż się obiecuje, i łapie pokrywających koszty w pułapkę racjonalności w stylu: może miało to kosztować 5 mld euro, a będzie dwa razy tyle, ale skoro już wydaliśmy 2 mld, to chyba nie chcecie ich stracić i zostać z niczym?

A tymczasem efektywny SMR jest jak yeti: wielu z zapalem o nim mówi, ale nikt go nie widział na oczy.

Jeśli nie wierzycie, spytajcie naszych droгих przyjaciół Amerykanów.

Amerykańskie fiasco

Zapał do nowych technologii jest wpisany w kod genetyczny Stanów Zjednoczonych. Nie inaczej jest z atomem. Pamiętajmy wszak, że to jedyne państwo na świecie – tu pozdrawiamy widzów oscarowego „Oppenheimera” – które użyło broni jądrowej, by wymordować w 1945 r. ludność cywilną Hiroshimy i Nagasaki.

W trakcie zimnej wojny ZSRR i USA ściagały się w wykorzystaniu do celów cywilnych energii nuklearnej, co było wygodnym myśleniem oczu w obliczu rozwijania w Moskwie i Waszyngtonie scenariuszy wymiany ciosów atomowych. Związek Radziecki tak bardzo starał się wykazać swoją wyższość nad zgniłym kapitalizmem, że pierwsza

uruchomiona w nim elektrownia jądrowa zużywała więcej prądu, niż sama produkowała – jej obsłudze służyły dwie elektrownie węglowe.

W Ameryce aż do takich absurdów nie dochodziło, lecz wszelkie bajania korporacji, że elektryczność z atomu będzie zbyt tania, aby w ogóle ją mierzyć, okazały się mrzonką. Bez publicznych dotacji i zwolnień podatkowych przemysł energetyki jądrowej nigdy by się nie rozwinął na masową skalę.

Pouczający jest też los NuScale, pierwszej firmy, która dostała w USA zgodę na zaprojektowanie SMR. Miał powstać w Idaho. Nie powstanie. NuScale chciała zarobić, więc próbowała kontrolować koszty swoich 12 bloków reaktora. I to za cenę bezpieczeństwa. Firma próbowała pominąć m.in. plany reagowania kryzysowego poza terenem elektrowni w celu ochrony pobliskich społeczności. W projekcie brakowało niezawodnych zapasowych systemów bezpieczeństwa. NuScale podkreślała, iż jej projekt jest – cokolwiek by to znaczyło – „pasywnie bezpieczny”. Okazało się, że chyba nie do końca: w procesie certyfikacji projektu późno pojawiły się obawy dotyczące pasywnego awaryjnego systemu chłodzenia rdzenia.

Nie jest to najlepsza rekomendacja dla SMR-ów w ogóle, wszak projekt NuScale jawił się jako wręcz skazany na sukces komercyjny. Po prostu był stosunkowo najbliższy reaktorom konwencjonalnym, co pozwoliło firmie wykorzystywać istniejące łańcuch dostaw cywilnego biznesu atomowego i uczyć się na doświadczeniu branży. Inne projekty są dużo mniej pewne i oparte bardziej na chciejstwie niż na rzetelnych badaniach. Najmieszniejsze, że nawet mimo hojnych (4 mld dol.) dotacji publicznych prywatny kapitał nie kwapił się do zaryzykowania swojej forsy.

Niepowodzenie NuScale w Idaho, pisze dyrektor ds. bezpieczeństwa energii jądrowej w Union of Concerned Scientists Edwin Lyman, „nie wróży zatem dobrze dziesiątkom innych bardziej egzotycznych typów reaktorów na różnych etapach rozwoju, które są reklamowane jako kolejna najlepsza rzecz w energetyce jądrowej, takim jak reaktory prędkie chłodzone sodem, reaktory chłodzone gazem i reaktory ze stopioną solą. Reaktory te, oparte na znacznie mniej dojrziałych konstrukcjach i generalnie wymagające paliw i materiałów, które nie są łatwo dostępne, będą w dającej się przewidzieć przyszłości jeszcze bardziej ryzykowne niż NuScale. Obecnie żadne inne projekty nowych reaktorów jądrowych nie są poddawane przeglądowi licencyjnemu Komisji Nadzoru Jądrowego”.

Śladem Korei Północnej

Rację ma prof. Gudowski, że technologie SMR-ów sięgają lat 50. XX w. Wtedy armia ame-

rykańska zbudowała i wykorzystwała osiem małych reaktorów, które okazały się tak zawodne i drogie, że program zamknięto w połowie lat 70. Ponadto w latach 50. i 60. zbudowano aż 17 małych reaktorów cywilnych, które też nie przetrwały.

To może lepiej się wiodło 26 brytyjskim małym reaktorom Magnox? Wszystkie zostały zamknięte. I nie będą już budowane. Jedynym funkcjonującym reaktorem tego typu jest mini-Magnox w Korei Północnej o mocy 5 megawatów. Reżim Kimów używa go do produkcji plutonu do broni jądrowej.

Chinińczycy, którzy nie skąpią kasy na technologie z zakresu energetyki, porzucili małe reaktory, bo im wyszło, że się zupełnie nie opłacają. Jak podkreśla Jim Green na łamach internetowego magazynu „Undark” (stworzonego kilka lat temu przez najślynniejszy uniwersytet technologiczny na świecie, amerykański MIT), w budowie znajdują się obecnie trzy reaktory SMR, przy czym nie ma w nich nic „modułowego”.

Największe sukcesy – jak dotąd jedyne realne – odnoszą SMR-y w prezentacjach w PowerPointie start-upów, które dziwnym trafem żądają góry forsy od państwa. Chwałą prywatną przedsiębiorczość, nowe czyste technologie, walkę ze zmianami klimatycznymi. Jeśli jednak to tak zajebisty interes, to czemu świat kapitału – siedzący w skali globu na bezprecedensowej masie forsy – nie chce wyklądać swoich środków?

Odwołując się, jak zwykły mawiać Jacek Kurski, do ciemnego ludu, który to kupi, zwolennicy SMR-ów kreślą wizję rodem z bajek Disneya. Ludziom modułowość kojarzy się z klockami czy meblami. Wizualizują sobie, że taka mała elektrownia to mały problem, w sumie każdy by chciał mieć coś takiego za oknem, bo to dodaje pięć punktów do lansu na TikToku.

Jestem odpadem atomowym

„Jestem brzydki, jestem paskudny, jestem brudny. Jestem odpadem atomowym” – wykrzykiwał przed laty Kazik w piosence będącej coverem artysty pod pseudonimem Zacier. Co mi przypominało, że warto poruszyć jeszcze jedną fundamentalną kwestię. Bo zwolennicy polskich – i wszelkich innych – SMR-ów nie chwalą się, co z odpadami radioaktywnymi.

Opublikowane dwa lata temu w prestiżowym piśmie naukowym „Proceedings of the National Academy of Sciences” badania pod kierunkiem Lindsay Krall dowiodły, że zwolennicy małych reaktorów modułowych pominieli jeden szczegół. Ze względu na mniejszy rozmiar SMR-y będą doświadczać większego wycieku neutronów niż reaktory konwencjonalne. Wpływa to na ilość i skład strumieni odpadów reaktorów, znacznie większych w przeliczeniu na jednostkę wytworzonej energii (badano także projekt Toshiba, który ma być realizowany w Polsce).

Obliczenia Krall wskazują, że ważnym kłopotem jest długotrwałe promieniowanie pochodzące z wypalonego paliwa jądrowego. Naprawdę długotrwałe.

Po 10 tys. lat (sic!) odpady z trzech badanych modułów byłyby, w przeliczeniu na jednostkę uzyskanej energii, o połowę szkodliwsze dla organizmu człowieka niż pluton w konwencjonalnym wypalonym paliwie jądrowym.

W kraju, w którym od lat świetnie działa mafia śmieciowa, a media ponad wszelką wątpliwość dowiodły, że najgorsze rakotwórcze syfy trafiają na nielegalne wysypiska (podpalane z czasem przez „nieznanych sprawców”), tylko czekamy na te wszystkie lokalne społeczności, które biją się o możliwość ulokowania pod swoimi domami takich radioaktywnych śmieci.

A tymczasem na śmietnik powinny trafić wszelkie próby budowania SMR-ów w Polsce.

ZUZ

Atomowe paciorki Bidena

Kiedy prezydent Biden wezwał – a nie, przepraszam, uprzejmie zaprosił – Tuska z Dudą, nie omieszkiał zadbać o interesy potężnych amerykańskich korpo, zwłaszcza z sektora energetyki jądrowej. Nie przez przypadek w audycji w Waszyngtonie brała udział sekretarz ds. energii Jennifer Granholm. Wujaszek Joe doskonale zdaje sobie sprawę, że koncerny te słabiatko radzą sobie na wolnym rynku (a po prawdzie, idzie im marnie nawet z dofinansowaniem publicznym), więc postanowił wesprzeć siłą swego urzędu ich interesy.

Duda, który – jak sam mówi, wciąż się uczy i jest twardy jak Tommy Lee Jones w „Ściganym” – w środę 13 marca odwiedził najnowszą amerykańską elektrownię nuklearną w stanie Georgia, którą wybudował Westinghouse. To właśnie reaktory Westinghouse’a mają nam zapewnić prąd z pierwszej elektrowni jądrowej na Pomorzu. A może być ich więcej, wszak premier Tusk po spotkaniu w Białym Domu powiedział enigmatycznie: „Jest decyzja o pierwszej elektrowni, chcemy rozmawiać o dalszej współpracy”.

Jeśli polskie władze pozbyłyby się wiadra wazeliny, z którą wchodzą do

tyłka USA, to nie tylko nie byłoby na obszarze energetyki jądrowej dalszej współpracy, lecz ta nieszczęsna elektrownia atomowa od Westinghouse’a skończyłaby jako kolejny symbol pisowskiego oderwania od rzeczywistości. Bo jeśli będziemy brnąć w ten projekt, te miliardy utopione na nieszczęsnej elektrowni w Ostrołęce to będą drobne na wakacji.

Za garść dolarów

Uruchomiony komercyjnie w zeszłym roku reaktor Westinghouse AP1000 był pierwszym od roku 2016 projektem, który wszedł na rynek energetyczny w Stanach Zjednoczonych. Kierująca Nuclear Energy Institute Maria Korsnick obwieściła światu, że „rozwinęty reaktor” pomoże „ukształto-

Szmelc prosto z USA.

wać krajobraz energetyczny przyszłości”.

Kiedy Georgia zaaprobowwała budowę dwóch reaktorów w 2009 r. (a jak dotąd działa jeden), miały one kosztować skromne 14 mld dolarów i zacząć komercyjną działalność w latach 2016 i 2017. Dziś szacuje się, że realny koszt tych dwóch jednostek to będzie ponad 30 mld dolarów, czyli grubo ponad 100 proc. więcej, niż zakładano.

Trzeba jednak przyznać, że ten wałek na kasie był i tak sukcesem. Bo taka sama para reaktorów AP1000 w sąsiadującej z Georgią Karolinie Południowej kosztowała 9 mld dolarów, ale musiano w ogóle z tego projektu zrezygnować. Jak podkreślają naukowcy z Uniwersytetu Columbia, twórcą AP1000 (Westinghouse) ogłosił w 2017 r. bankructwo, a Japończycy z Toshiba, którzy nabyli ten amerykański koncern

w 2006 r., z powodu poważnych problemów z AP1000 musieli spisać miliardy dolarów na straty.

Porażka najnowszego dziecka Westinghouse’a wynikała z kilku podstawowych problemów, które w przypadku próby budowania AP1000 w Polsce byłyby zwielokrotnione. Nie chodzi o samą technologię jądrową, lecz o ruszenie z budową wyłączone wtedy, gdy jest skompletowany projekt (tego zabrakło w Georgii i Karolinie Południowej), a także zapewnienie sprawdzonych łańcuchów dostaw i wykwalifikowanej siły roboczej. Jak wiadomo, każdy Janusz z budowy podmiejskich szeregówek doskonale wie, jak postawić elektrownię jądrową, czyż nie?

Diabeł i anioły

W jednym z późnych szkiców Kaba- retu Tey, opisujących odprężenie zimnowojenne, jest scenka handlowania za-

chodniego diabła (Janusz Rewiński) ze wschodnim aniołem (Zenon Laskowik). Anioł cieszy się, że przehandlował jedno skrzydło za dwa diabelskie różki, na co szatan mówi: „Spróbuj teraz lecieć”.

A tymczasem odleciały polskie władze w sprawie inwestycji realizowanej – bo przecież nie opłacanej – przez koncern Westinghouse. Polskie aniołki, Donek i Andrzejek Sebastianek, cieszą się, że powstanie na Pomorzu inwestycja taka ładna, amerykańska. Nie pojęły, że diabeł Joe chce zrobić najlepszy interes od czasów, gdy ludność rdzenna sprzedawała białym tereny dzisiejszego Manhattanu za garść paciorków. Biednych tubylców rozgrzesza to, że wcześniej kolonizatorzy ich spili wodą ognistą, rodzi się zatem pytanie, co zaszerwano do picia, palenia czy niuchania w Białym Domu naszym oficjelowi, że nie zachowali trzeźwego umysłu...

Co do Dudy, nie mamy złudzeń, ale być może Tusk jest mądrzejszy: grzeccie przytakuje, ale doskonale wie, że Westinghouse żadnej elektrowni jądrowej na Pomorzu nie wybuduje. Bo – znając „wybitne” dokonania tej firmy – po prostu nas na to nie stać.

KAT

Wstyd jak beret

Dudotusk w USA.

Oscar Wilde zauważył kiedyś trafnie, iż „patriotyzm jest cnotą ludzi przepełnionych nienawiścią”. Wierna tej maksymie, jestem raczej wolna od patriotycznych emocji. Z wyjątkiem jednej: wstydu. Kiedy dwaj najważniejsi polscy politycy łaskili się do cokolwiek zniedołężniałego „przywódcy wolnego świata”, a polski komentariat wszelkiej maści dostawał z tego tytułu orgazmu – miałam ochotę wejść pod stół.

Sz szczególnie frustrujące wydaje mi się schadenfreude, które towarzyszy zauważeniu, że choć Polska weszła do NATO razem z Węgrami i Czechami, to do USA na rocznicę zaproszeni zostali tylko polscy przywódcy – i to parka – a Czech będzie musiał poczekać na swoją kolej, nie wspominając już o Węgrze, którego Biden w ogóle nie chce oglądać.

Podpowiem Wam rozwiązanie tej zagadki: amerykańska Polonia to 8 do 10 mln ludzi. Czechów jest w USA 1,2 mln, Węgrów – 1,3 mln, a wybory w listopadzie.

Do tego, zapraszając dwóch polityków reprezentujących obie zwąśnione strony, Biden puszcza oko także do Polaków prawaków. To nie jest bez znaczenia – Polonia jest uważana za elektorat „swingujący”, co nie oznacza, niestety, wolnej miłości, tylko przerzucanie się z demokratów na republikanów i z powrotem. W ostatnich dekadach amerykańscy Polacy głosowali na Nixona, Cartera, Reagana, starego Busha, Clintona, młodego Busha, Obamę, Trumpa i Bidena. Od półwiecza, z jednym wyjątkiem – nieudanej reelekcji Cartera – rodacy w USA konsekwentnie oddają swoje głosy na zwycięzcę, jak przystało na „milczącą większość” z oportunistyczną inklinacją.

To – co tu dużo mówić – czyni polski elektorat szczególnie pożądanym i wartym wysiłku. Po miesiicach wyraźnej przewagi Trumpa w sondażach Biden zaczyna go doganiać, więc Ameryko-Polacy będą musieli się od nowa zastanowić, kogo poprzeć, żeby znaleźć się w obozie zwycięzcy – to wydaje się celem konsekwentnie im przyświecającym. Przyjęcie dwóch gadających w kółko o Ukrainie polskich marudów nie jest ceną zbyt wysoką za umizgi do polskiego elektoratu, zwłaszcza jeśli dało się ich opędzić jednym spotkaniem. Stąd – jak zgaduję – zaskakujące nawet dla dziennikarzy amerykańskich otwarcie obrad przy udziale kamer; żeby wszystkim utrwaliło się, jak blisko prezydent Biden jest ze „swoimi polskimi przyjaciółmi”. A jeśli do tego jeszcze udało się wcisnąć im kolejną transzę zakupów zbrojeniowych wraz z dwiema dużymi bankami papieru kredytu (od kogo, na jaki procent – nie wiadomo) – to prezydent USA mógł uznać dzień za udany.

Pytanie: co mieli z tego prezydent i premier RP?



ILUSTRACJA: PAVEL FERENC

Andrzej Duda skorzystał z okazji, żeby wystąpić z kompletnie niepoważnym projektem podniesienia natowkich wydatków zbrojeniowych do 3 proc. PKB – czego nie poparli nawet Amerykanie, którzy są wszak głównym beneficjentem rozpętanego w NATO wyścigu zbrojeń. Mam niepokojące wrażenie, że Andrzej Duda kierował się przy zgłaszaniu tego projektu chłopięcą frustracją płynącą z bycia samcem beta: najpierw wszystkim rządził Kaczyński, a teraz zewsząd słychać, jaką ważną figurą międzynarodową jest Tusk, a przecież to ja jestem prezydentem Rzeczypospolitej, tup, tup (tu powinno nastąpić gniewne tupnięcie nóżką). Donald Tusk wprawdzie nie zgłosił żadnego absurdałnego postulatu, za to przebił Dudę, cytując Jana Pawła II, czego pisowski prezydent zapomniał uczynić. A na koniec Tusk megalomańsko wyraził oczekiwanie, że „głos z Europy, z Polski wpłynie na postawę spikera Izby pana Johnsona”, który blokuje 60 mld dolarów na pomoc dla Ukrainy. Bo „brak decyzji pana Johnsona naprawdę będzie kosztował tysiące istnień ludzkich na Ukrainie, dzieci, kobiet”. Tu Johnson na pewno zalał się łzami.

Gdybym wszakże miała powiedzieć, co zażenowało mnie najbardziej – to nie była to nawet szczeniacka gotowość liderów mojego państwa do podłożenia brzuszka do miziania amerykańskiemu prezydentowi, ale kompletny brak jakiegokolwiek krytycznej refleksji w polskich mediach.

Przewodził w nim oczywiście TVN24, gdzie przez 24 godziny każda informacja z Dudowo-Tuskowej wycieczki do USA podawana była na przydechu, z jakim Jackie Kennedy zwykła mówić o wyborze porcelany do Gabinetu Owального. Niełatwo wybrać najsmakowitszy moment, ale stawiam na red. Dianę Rudnik, która usiłowała od kolejnych gości wyimpasować wyrazy ekscytacji i zachwytu rolą Polski w świecie. Większość ulegała bez oporu – odnotujmy chociażby prof. Katarzynę Pisarską, według biogramu „jedną z założycielek Międzynarodowego Centrum na rzecz Zwycięstwa Ukrainy”, która na tym samym przydechu, na którym zadane zostało pytanie, ogłosiła, że „wizyta ma ogromne znaczenie dla

bezpieczeństwa naszego regionu: z jednej strony, przypomina, jak kluczowym dla bezpieczeństwa Zachodu krajem jest Polska, bez której bezpieczeństwa Europy po prostu nie będzie, a z drugiej strony, silnym głosem, jako kraj, który wydaje 4 procent PKB na bezpieczeństwo, możemy: Ameryko, musisz dalej pomagać Ukrainie”... Zachęcona pozytywnym efektem red. Rudnik zwróciła się do drugiego rozmówcy z niesugerującym pytaniem: „Usłyszeliśmy ten pierwszy konkretny z ust Jake’a Sullivana: pożyczka 2 miliardy dolarów na uzbrojenie, zakup 96 nowoczesnych śmigłowców. Jeśli to byłby tylko ten konkretny – to już będzie sukces?”.

I w tym miejscu prof. Zbigniew Lewicki – amerykańista, którego pamiętam z lat 90. jako zawodowego wielbielcę USA, ale który daleko odszedł od korzeni – zepsuł wszystko.

„Ja mam trochę inny pogląd na tę wizytę, bo ja jej nie rozumiem. Zupełnie nie rozumiem, w jakim celu dwie najważniejsze osoby władzy wykonawczej w takim momencie – kiedy teoretycznie Rosjanie mogą zaatakować – opuszczają Polskę i lecą do Ameryki, żeby dostać pożyczkę na zakup śmigłowców” – ogłosił prof. Lewicki i dodał, że takie rzeczy załatwia się na poziomie ambasadora. Po czym padło jeszcze kilka innych herezji, a na koniec prof. Lewicki wygłosił tezę, którą powtarza od kilkunastu miesięcy i której nikt nie chce słuchać.

Usłyszymy ją zatem. „Ameryka miała na Ukrainie trzy cele: osłabienie Rosji; sprawdzenie, jaką bronią Rosja dysponuje; sprawdzenie własnej broni w warunkach bojowych. Te cele Amerykanie już osiągnęli”.

Od trzech dekad z górą każde spotkanie polskiego prezydenta czy premiera z „Przywódcą Wolnego Świata” odbywa się według tego samego scenariusza, w którym najwyższe władze Rzeczypospolitej występują w charakterze pensjonarki zabiegającej o autograf gwiazdy kina. Od czasu do czasu w tym zgodnie pięjącym chórze trafia się ktoś, kto zepsuje powietrze i powie kilka słów prawdy.

To powód, dla którego warto włączyć telewizor.

AWŁ

Prezes Kaczyński idzie niemiecką drogą!

„Nasz obóz polityczny potrzebuje jedności, zdecydowanego przywództwa, szybkiego przejścia do ofensywy. Dlatego zmieniłem swoje polityczne plany. Wcześniej oceniałem, że kierowanie partią do 2025 r. wystarczy”. Takimi słowami prezes Kaczyński ogłosił swą bezdyskusyjną wolę.

Uczynił to w tygodniku „Sieci”. Wydawanym przez braci Karnowskich, piśmie najbardziej mu lizusowskim spośród związanych z PiS mediów.

Ogłosił ją, żeby zdusić pojawiające się już w jego partii szept i dyskusję o jego następcy. Zdeklarował: „Dziś jasno mówię: zgłoszę swoją kandydaturę na prezesa Prawa i Sprawiedliwości i poproszę o wybór na kolejną kadencję. Oczywiście to delegaci zadecydują, ja uczynię wszystko, by ich przekonać do takiego wyboru. Stawiam sprawę jasno, bo mogą się zacząć jakieś procesy, które nie służą partii. Jestem przekonany, że jeszcze przez jakiś czas mogę skutecznie działać. Mam siły, mam plan polityczny. Nie chcę też, by ktoś mi zarzucał, że jestem dezertorem, że zostawiam partię i całe nasze środowisko w tak trudnym momencie, w starciu z tak brutalnym, nieliczącym się z niczym przeciwnikiem. Zostaję, walczymy dalej”.

Kiedy prezes odchodzi

Pierwszym, kto zgłosił się do roli następcy prezesa, był były premier Mateusz Morawiecki. Aktyw PiS zignorował jego inicjatywę. Nie tylko dlatego, że poseł Morawiecki ma w mediach opinię notorycznego kłamcy, krętacza i rwacza państwowej kasy. Morawiecki nadal traktowany jest przez ideowych kaczystów jako ciało w partii obce. Były bankster, doradca Tuska, kosmopolityczny Europejczyk, człowiek wynajęty przez prezesa Kaczyńskiego. Nie przywódca.

Drugim, który publicznie zakwestionował sens dalszego trwania prezesa Kaczyńskiego, był szef gabinetu prezydenta Dudy Marcin Mastalerk. Podczas radiowej rozmowy rzucił propozycję wyśnięcia prezesa Kaczyńskiego na polityczną emeryturę. Szef Mastalerka, prezydent Duda, pyta

o emerycki status prezesa zbywał postulatami odmłodzenia pisowskiej polityki i twarzy partyjnych liderów.

Kolejne głosy krytyki przyszły z niespodziewanej i bolesnej dla „inteligenta z Żoliborza” strony. Najpierw profesor Andrzej Nowak, zwany przez prezesa najwybitniejszym polskim historykiem, publicznie poradził Kaczyńskiemu wycofanie się, bo jego wódzowski i archaiczny styl polityki zniechęca wyborców, zwłaszcza tych z młodszych pokoleń. Przy okazji jako nowe nadzieje przywódcze w Zjednoczonej Prawicy profesor Nowak wskazał Przemysława Czarnka i europoła Suwerennej Polski Patryka Jakiego. Takie pocałunki śmierci.

Bliski prezesowi publicysta Piotr Zaremba uznał te kandydatury za nie trafione, bo obie „mają wszystkie wady Kaczyńskiego, ale nie mają jego zalet”.

Do profesora Nowaka rychło przyłączył się kolejny pisowski intelektualista, też profesor, Andrzej Waśko. W analizie na łamach najnowszego numeru dwumiesięcznika „Arcana” działaczom PiS zalecił: „Konieczne są praktyczne posunięcia – nie hasła – zmierzające do odbudowy porozumienia wewnątrz patriotycznej części społeczeństwa. Trzeba ograniczyć wódzowski monolog i wrócić do dialogowej formy stosunków wewnątrz własnego obozu. Ludziom potrafiącym myśleć politycznie i aktywnym trzeba dać poczucie, że mogą realnie partycypować w pracy dla Polski. Trzeba takich ludzi szukać wszędzie, bo wszędzie oni są. Także w miastach, wśród pracowników nauki, kultury i oświaty, wśród studentów i młodzieży”.

I wtedy tama chroniąca prezesa PiS przed jakąkolwiek krytyką została przerwana. Rychło redakcja prawicowego tygodnika „Do Rzeczy” temat końca epoki Kaczyńskiego uczyniła przewodnim swego pierwszego wydania, a w lizusowskim tygodniku „Sieci” do chóru krytyków Kaczyńskiego dopisał się, jeszcze niedawno ostro wazelinujący prezesowi, Bronisław Wildstein. Sfora wólców prawicowej publicystyki wyczuła słabnący puls wodza.

Kiedy nadzieja Neuroblastoma po barcelońsku.

wanie u dzieci z NBL jest uzależnione od rodzaju guza, stadium zaawansowania i obecności tzw. czynników ryzyka (m.in. wieku pacjenta czy biologii guza). U noworodków i niemowląt wyleczenia sięgają 90 proc. Im starsze jest dziecko, a choroba bardziej rozsiana, tym rokowania gorsze. Nerwiak zarodkowy wywodzący się z nadnerczy ma gorsze rokowania niż guz pochodzący ze zwojów przykręgosłupowych, podobnie jak ten zlokalizowany w jamie brzusznej ma gorsze rokowanie niż guz zlokalizowany pierwotnie w miednicy – ot, takie śmiertelności koło fortuny.

W 70 proc. przypadków pacjenci mają przerzuty w momencie stawiania diagnozy. Szacunki przeżycia dla starszych dzieci oscylują w granicach 68 proc. Umówmy się: nikt nie chce być w pozostałych 32 proc. Gdy rak zżera dziecko, a diagnoza rodziców i wspólnie zaczynają tkwić w chorobowym więzieniu, pojawiają się adwokaci diabła.

Każdy, kto miał okazję doświadczyć zderzenia ze śmiertelną chorobą i polskim systemem zdrowia, wie, jak mało wyrafinowana jest to tortura. Nie ma dobrej metody na przekazywanie katastroficznych wiadomości, ale rzucane oschle i w biegu hasło „nie rokuje

dobrze”, które z medycznego na polski oznacza mniej więcej tyle, co „nafaszerujemy, czym się da, i albo przeżyje, albo zgnie żywcem”, wzbudza tylko chęć ucieczki. W głowach napchanych wizjami serialowych szpitali z „Na dobre i na złe” czy innych „Chirurgów” – gdzie pan lub pani w kitlu z ładnymi zębami przytuli i powie, że stanie na rękach, żeby się udało, no bo przecież musi się, kurwa, udać – zaczyna tłić się nadzieja, że gdzieś może być inaczej niż w tej zapyziałej Polsce. Jako że polactwo ma mitologizację Zachodu w DNA, projekcja bombelka w łóżku z pościelą w misie w pokoju o pastelowych barwach z kwiatami przy wyrze, gdzie zamiast gburowatych piguł warują uśmiechnięte golden retrievery, staje się jakoś bardziej znośna wizja walki z raczyskiem niż szpitalna sala z odpadającym tynkiem i grzybem na ścianie w kraju nad Wisłą. Nie wspominając o tym, że wielu osobom krajowe leczenie kojarzy się z lewatywą z roztworu wybielacza i przystawianiem pijawek. Krótko mówiąc – kiepsko. Pewne zwyczajnie nie podlegają negocjacjom, dlatego gdy padnie pierwszy strzał w onkologicznym wyścigu, rodzice działają przejętej przez wroga zarzucają sieci na ocean medycznych możliwości, by często – jak się okazuje – dać się złapać we wnyki hochsztat-

MÓZDZEK TYGODNIA

Olo o Nowym w „Psach”: „Jak taki zaczyna od kapowania, to na czym skończy?”.

Franz: „Na Powązkach”.

My o pośle Adamie Gomole: Jak taki zaczyna od korupcji politycznej, to na czym skończy?”.

...

Ile było cmokania, zachwycania się, ile wyrazów podziwu i uznania... Ze taki młody, taki zdolny, taki pracowity, że wysoko zajdzie, bo ma wszystko, co polityk mieć powinien: jest przystojny, wygadany, niegłupi.

A właśnie, że głupi! Najmłodszy poseł obecnej kadencji (w dzień październikowych wyborów miał 24 lata), cudowne dziecko Szymona Hołowni i Polski 2050, okazał się zepsutym



ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

durniem, który nie dość, że wpadł na pomysł złamania przepisów wyborczych, to jeszcze dał się na tym złapać.

...

Gomola został wykluczony z Polski 2050, a jego imię będzie zapomniane. Niech już sobie szuka jakiegos cmentarza politycznego. Lub śmietnika.

Zbawiciel wymierającego narodu



PREZES WIECZNIE ŻYWI

Bój ostatni?

Kiedy pisowska inteligencja zaczęła otwarcie malkontencić, prezes Kaczyński wałnął pięchą w stół i zakrzyknął: „Walczymy dalej!”. Przypomniął aktywowi, że w ostatnich wyborach parlamentarnych „zajęliśmy pierwsze miejsce z poparciem niewiele mniejszym niż cztery lata temu”. Niestety „było to jednak zwycięstwo samotne, zbyt małe, by utrzymać władzę”.

Ale potencjał dla kolejnego zwycięstwa jest. Prezes właśnie zauważył, że „objazdy po Polsce, które rozpoczęliśmy po zmianie rządu, pokazują większą niż wcześniej liczbę ludzi przychodzących na nasze spotkania,

a przede wszystkim nieporównywalnie większą energię, gotowość do działania”. Dlatego prezes zdecydował, że nie zmieni nazwy swej Partii. „Prawo i Sprawiedliwość to dla wielu ludzi symbol dobrych rządów, troski o Polskę, skuteczności, patriotyzmu”.

Na razie PiS walczy samotnie, ale prezes nie wyklucza, że w przyszłości jego partia będzie „częścią szerszego obozu”. I przewodzić mu będzie, rzecz jasna. Zaprawdę pan prezes chciałby wielkiej koalicji, ale do takiej musi mieć godnych partnerów. Takich teraz na scenie politycznej jeszcze nie widzi. Polecana mu przez pisowskich profesorów Konfederacja odpada. Bo ona „nie ukrywa, że chce PiS zniszczyć, by

potem zająć nasze miejsce. Z Konfederacją jest też ten problem, że nie do końca wiadomo, o co jej chodzi, każdy tam mówi co innego, są liczne podziały”. Nie to, co w PiS. Tam liczy się tylko to, co mówi prezes.

Lecz ludzi dobrej prawicowej woli jest więcej i pan prezes mocno wierzy w to, że rozszerzy swój PiS na „środowiska odwołujące się do motywacji patriotycznej, religijnej, ale społecznej, judymowskiej, tradycji dla polskiej inteligencji”.

Uroczyście zaprzecza, że jego PiS był i jest formacją zamkniętą. To jedno wielkie ohydne kłamstwo. Aktualna samotność polityczna PiS-u i prezesa nie wynika z polityki prezesa,

tylko spisków wrogich mu sił. W ich efekcie „wokół nas zawsze budowano kordon sanitarny”, żali się prezes.

Tenże kordon sanitarny jest też częścią niedawnego wielkiego spisku, który odsunął PiS od władzy. Choć PiS-owi należało się zwycięstwo wyborcze i kontynuacja władzy. „Sam przecież objechałem przed wyborami ogromną część Polski, odbyłem 60 spotkań, zanim choroba przerwała mój objazd. I też to widziałem, też mi mówiono, że twarde dane, skokowy wzrost jakości życia, sukces we wszystkich obszarach, potężne lokalne inwestycje, od dekad niewidziane w niektórych miejscach, nie przemawiały do ludzi” – dziwi się prezes. Czemu zatem wyborcy nie zauważyli tego dobrego, co PiS im uczynił?

Bo ich oszukano. „Stworzono rzeczywistość urojoną, równoległą”. Wszyscy przeciwnicy prezesa wmówili Polakom, że u nas „panuje dyktatura” i prezes rządzi, nie licząc się z opiniami innych.

Kret samotny jest

Aby kontynuować swe dobroczynstwo, wzywa prezes wszystkich patriotycznych, religijnych, judymowskich i polskich inteligentów do nieporzucania PiS. Do wspólnej walki z globalnym Zielonym Ładem, europejskim KPO i „potężnym frontem antydemokratycznej lewicy”. Do przeciwstawienia się obecnemu „rządowi likwidatorów” i kontynuowania wielkich ambitnych patriotycznych cudów – budów ogłoszonych przez PiS.

Niech powstanie wielki Centralny Port Komunikacyjny, polskie elektrownie atomowe i węglowe, niech się „Odra nam udroźni” i stanie się wielkim kanałem dla milionów barek i statków rzecznych.

Takie dzieła wymagają czasu. Dlatego prezes szykuje swoją partię na długi opozycyjny marsz. Bo „na razie nic nie wskazuje, by rządząca koalicja miała się szybko rozpaść”.

Prezes ma czas. Skończył dopiero 75 lat. Jest młodszy od prezydentów Bidena i Trumpa. Nieraz też Kaczyński przypomina, że twórca niemieckiego cudu gospodarczego kanclerz Konrad Adenauer rządził Niemcami do 87. roku życia. Czemu prezes nie mógłby pójść niemiecką drogą?

Ale „czy starzejący się Jarosław Kaczyński będzie umiał wykorzystać

swe zalety? Można mieć wątpliwości” – martwi już się pisowski publicysta Piotr Zaremba. „Niestety na razie nie ma na prawicy dobrych kandydatów na nowego prezesa. Każdemu z proponowanych czegoś brakuje. Przede wszystkim samodzielności myślenia”. Prezes Kaczyński to ciągle jedyny „w pełni podmiotowy polityk w PiS”, który ma taką samodzielność – „tylę że bywa ona dla niego przekleństwem”. Podobnie jest z jego inną przywódczą cechą. Prezes „bywa wizjonerem”. Dlatego jeśli nawet da się wyczuć „pewne zmęczenie liderem gawędziarzem”, to każda nowa kandydatura może jedynie PiS osłabić, podzielić. Tak uważają ideowi kaczyści.

Prezes Kaczyński zapowiedział kolejny objazd po Polsce. Jeśli tylko choroba znowu go nie zmoże. Liderzy koalicji rządzącej życzą mu zdrowia.

Bo każdy stand-up tego „samodzielnie myślącego wizjonera” osłabia poparcie dla PiS. Bo słuchając go, nietrudno zauważyć, że prezes żyje w „urojonej, równoległej rzeczywistości”. Ma archaiczną wizję postępu, rozwoju gospodarczego. Rzek zamienionych w tory komunikacyjne, gigantycznych lotnisk i „mostów dla panów starostów”. Scentralizowania i upolitycznienia wszystkich instytucji. W swych wizjach odwołuje się do „judymowskich” tradycji. Dziś zupełnie słuchaczom nieznanymi, nierozumianymi, historycznymi. Odwołuje się do „polskiej inteligencji”, dziś już wymierającej warstwy społecznej. I do religijności obecnej dziś jedynie wśród emerytów.

Ten ostatni „wizjoner” w PiS tworzy program, który dziś porwać może jedynie najsłabiej wykształconych, najbardziej konserwatywnych i najszybciej wymierających wyborców. Razem z podobnym mu wizjonersko Kościołem kat. biskupów Jędraszewskiego i Gądeckiego ma szansę stworzyć solidny konserwatywny, lecz coraz bardziej osamotniony polityczny skansen. Wiecznie opozycyjny wobec progresywnej większości społeczeństwa.

Kiedyś w chwili szczerości Jarosław Kaczyński wyznał, że w życiu najbardziej chciałby zostać „emerytowanym zbawcą narodu”. Przyklejając się dziś do stołka prezesa PiS, jutro może nie mieć już chętnych do swojej wizji zbawienia.

PIOTR GADZINOWSKI

dostaje raka

plerów. Prym wśród naznaczonych neuroblastomą wiedzie Hospital Sant Joan de Déu w Barcelonie. Problem w tym, że z kompleksowym leczeniem ma tyle wspólnego, ile renta z rentownością.

Do Barcelony w ciągu ostatnich trzech lat mogło wyjechać – jak szacują onkolodzy – około trzydziściorga dzieci. Na portalach internetowych roi się od zbiorów charytatywnych, których opis, gdyby nie różne imiona dzieci, byłby ten sam: „Neuroblastoma IV stopnia, leczenie w Barcelonie”.

Samuel, Mikołaj, Maja, Szymonek (tylko kilkoro pierwszych z brzegu) walczą, a na walkę potrzebują kasy – niemałej. Cuda na kiju w Barcelonie słono kosztują, na początku rodzice potrzebują miliona złotych, później apelują o dwa, trzy. „Jesteśmy zrozpaczeni. Agatka po dwóch latach ciężkiej walki z nowotworem w klinice w Barcelonie ma wznówę. Tym razem jest jeszcze trudniej. Nie zdążyliśmy z podaniem terapii przeciwko wznówie, a nowotwór wrócił silniejszy! Przeniknął do ośrodkowego układu nerwowego. Dał przerzuty do kości. Dostaliśmy kosztorys na dalsze leczenie – ponad 600 000 euro! Boże, skąd mamy wziąć taką sumę...” – płaczą w opisie zbiórki rodzice Agatki. Zdjęcia wyniszczonej chorobą dziewczynki, w przeciwieństwie do sprzedawanej za ciężki hajs terapii, działają cuda. Pasek zbiórki się zazielenia, konto hiszpańskiej kliniki znów spuchnie.

„Działając w imieniu środowiska onkologii i hematologii dziecięcej w Polsce oraz wychodząc naprzeciw napływającym informacjom o procederze związanym z oferowaniem rodzicom polskich pacjentów pediatrycznych, u których zdiagnozowano neuroblastomę, odpłatnego leczenia w Hospital Sant Joan de Déu w Barcelonie w sposób wprowadzający w błąd i szkodliwy dla chorych dzieci, zwracam się do Pana Ministra z uprzejmą prośbą o przyjęcie i wspieranie mojego negatywnego stanowiska w tej sprawie” – napisał w liście do wiceministra profesor Styczyński. Wprowadzanie w błąd w przypadku wspomnianie kliniki można z ręką na sercu nazwać eufemizmem. Polowanie na onkologiczne jelenie odbywa się na grupach facebookowych zrzeszających rodziców, którzy wymieniają się informacjami o chorobie. Rodzice dzieci z neuroblastomą dostają nieprawdziwą informację, że megachemioterapia stosowana we wszystkich protokołach leczenia (w Europie, Kanadzie, Australii, Japonii i Stanach Zjednoczonych) jest szkodliwa i nie poprawia wyników leczenia. Ponadto pacjenci w barcelońskim ośrodku w ramach tzw. leczenia konsolidującego otrzymują preparat, który nie ma rejestracji w leczeniu pierwszej linii. W Polsce i pozostałych ośrodkach europejskich współpracujących w ramach grupy SIOPEN (Europejska Grupa ds. Leczenia Neuroblastomy) pacjenci otrzymują preparat o skuteczności udokumentowanej w leczeniu pierwszej linii refun-

dowany przez NFZ. Krótko mówiąc, dr Jaume Mora Graupera, dyrektor oddziału onkologii i hematologii w Szpitalu Dziecięcym SJD w Barcelonie, prowadzi badania kliniczne, pobierając gigantyczne kwoty od zmanipulowanych rodziców śmiertelnie chorych dzieci.

Żeby łaskotki śmieszyły jeszcze mniej, zdarza się, że gdy dziecko poddane terapii walkę z chorobą przegra, będąc jeszcze na obczyźnie, jego ciało nie zostaje wydane rodzicom tak długo, dopóki nie zapłacą za leczenie.

Tego w „Na dobre i na złe” nie grali...

„Leczenie neuroblastomy dostępne w Polsce prowadzone jest zgodnie z aktualnymi europejskimi i światowymi standardami, zgodnie z wiedzą medyczną opartą na faktach i zgodnie z wytycznymi międzynarodowych towarzystw onkologicznych. Pediatryczne ośrodki onkologiczne w Polsce, w odróżnieniu od Hospital Sant Joan de Déu w Barcelonie należące do SIOPEN, mają prawo do stosowania jej protokołów, na bieżąco je modyfikując w zależności od aktual-

nich analiz statystycznych dotyczących skuteczności i bezpieczeństwa leczenia. NFZ zapewnia finansowanie wszystkich terapii o udowodnionej skuteczności. [...] Dzieci, które wracają do Polski ze względu na zły stan zdrowia lub progresję choroby, nadal wymagają leczenia z powodu neuroblastomy lub terapii paliatywnej, jeżeli dalsze leczenie przyczynowe nie jest już możliwe” – alarmuje profesor Styczyński. Problem w tym, że prawdopodobnie tak jak w ubiegłym roku nic z tej opinii nie wyniknie. Ministerstwo Zdrowia nie może przecież zakazać rodzicom leczenia dziecka w ośrodku innym niż polski, szczególnie że podkładka hiszpańskich cwaniaków o badaniach klinicznych skutecznie zabezpiecza im tyły, a choroba jest na tyle nieprzewidywalna, że trudno ich o cokolwiek oskarżać. Przykład problemu z kliniką w Barcelonie jak w soczewce skupia niedomogi polskiego systemu zdrowia.

W ubiegłym roku podczas VIII Międzynarodowego Forum Medycyny Personalizowanej o szansach i zagrożeniach związanych z Krajową Siecią Onkologiczną (KSO) kierownik Kliniki Onkologii Uniwersyteckiego Centrum Klinicznego Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego dr hab. Rafał Stec podkreślił, że w Polsce

aktywnych jest nie więcej niż 900 lekarzy onkologów, podczas gdy potrzeba ich dwa razy tylu. Ci, którzy pracują, przyjmują po blisko 30 pacjentów dziennie. Nie trzeba być geniuszem, żeby połączyć kropki i zrozumieć, że taki lekarz zwyczajnie nie ma czasu na szczegółowe wyjaśnienie zawiłej dla laika ścieżki leczenia onkologicznego, nie wspominając o tym, że pozostający w szoku po trudnej diagnozie pacjent może niekoniecznie przyswoić w danym momencie jakiekolwiek informacje poza tą, że raczej nie musi się już martwić o plan emerytalny.

Kiedy opadnie kurz pierwszych emocji, pacjenci i ich rodziny zaczynają błądzić jak pijane dzieci we mgle. Żeby zobaczyć, jak wielka jest wyrwa komunikacyjna między pacjentami a lekarzami, wystarczy zajrzeć na internetowe forum onkologicznej Fundacji Dum Spiro, Spero. 15 tys. tematów, 329 tys. postów, 160 tys. użytkowników. W ciągu zaledwie 10 lat istnienia forum odwidziało 12,5 mln osób. Przewijają się pytania o ośrodki leczenia w Polsce, opiekę paliatywną, wytłumaczenie opisu badań, doświadczenie w przebiegu choroby. Pacjenci i ich bliscy nie wiedzą, czego mogą się spodziewać i jak reagować adekwatnie do sytuacji, która często jest bardzo dynamiczna. Nie mają szans na wyczerpujące tłumaczenia lekarzy, szukają wiedzy i pomocy, gdzie się da.

Jeśli mają szczęście, trafiają na fora takie jak to prowadzone przez fundację, jeśli trochę mniej – na sprzedawców farbowanego cudu, którzy nie za jednego obola, a za setki tysięcy euro przewożą ich przez Styks.

IDALIA DUBICKA



Rys. HENRYK CEBULA

Prolajf.pl

Ducha nie gaście, ekstrema czuwa.

Kiedy politycy uprawiają podniosły bełkot wokół ustawy aborcyjnej, w mulistych zakamarkach religijnego ekstremizmu trwa formowanie szyków. Fuzje, transfery i szereg projektów organizacji zrzeszających tzw. obrońców życia zaczynają upodabniać wyśmiewane grupki nawiedzonych prolajferów do solidnie zorganizowanej korporacji. Wiele wskazuje na to, że polsko-polski front walki o prawa reprodukcyjne może stać się mekką europejskich ruchów pro-life.

Ruchy tektoniczne

Szlifowany do wyrzgu temat ucywilizowania praw reprodukcyjnych skupił wzrok opinii publicznej na konkursie mierzenia długości politycznego kutasa w obozie władzy, odwracając zupełnie uwagę od drugiej strony. I niby nic w tym niezwykłego, wszak po ośmiu latach bogoojczyńskiego zaduchu nikt nie chce wspominać wyziewów kościelnego szamba. Tymczasem katopravicowa biomasa fermentuje i ani myśli zaniechać procesu.

Na przełomie lutego i marca doszło do trzech wzniosłych – z punktu widzenia antyskrobankowych aktywistów – wydarzeń. Pod koniec lutego

Instytut Ordo Iuris połączył siły z fundacją Centrum Życia i Rodziny. Nie przymierzając, ale to trochę tak, jakby nowotwór dostał trypra.

„Aby jeszcze mocniej rozwinąć bezpośrednią sieć dotarcia z naszym wezwaniem do obrony Ojczyzny, życia i wolności do polskich rodzin – połączyliśmy właśnie siły z jedną z największych w Polsce organizacji społecznych, odważnie broniących życia, rodziny i wolności” – napisał w mediach społecznościowych mecenas Jerzy Kwaśniewski, prezes ultrakatolickiego think tanku Ordo Iuris. Centrum Życia i Rodziny to organizator corocz-

nego ogólnopolskiego Marszu dla Życia i Rodziny (odbywającego się w 150 miastach), a także rozmaitych pomniejszych akcji przeciwko związkom jedнопłciowym, „dyktaturze relatywizmu” i innej „cywilizacji śmierci”.

Z kolei z początkiem marca w Warszawie wybrano nowy zarząd Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia. Prezesem zarządu został ponownie Jakub Bałtroszewicz, który – tak się miło składa – zasiada na stołku sekretarza generalnego Europejskiej Federacji dla Życia i Godności Człowieka ONE OF US, największego lobbysty pro-life przy Parlamencie Europejskim. Również na początku marca na jeszcze lepszym stanowisku – bo członka zarządu ONE OF US – wyładował kolejny rodak: Krzysztof Zuba, absolwent Akademii Górniczo-Hutniczej oraz studiów podyplomowych MBA, delegat stanowy Rycerzy Kolumba w Polsce.

I pewnie burej suki z kulawą pipą nie zainteresowałby ten dziwny zwierzyniec, gdyby nie pewne niuanse, które nakazują czujność. Każdy, kto ma bodaj szcztąki wiedzy, jak kler wpierdala się w nie swoje sprawy, powinien poczuć przynajmniej niepokój.

W kupie siła

Bez względu na to, z jak śmierzącym zaścianiem kojarzą się ruchy pro-life, wypada dopuścić do świadomości fakt, że ewoluują. Wytykane palcami i paragrafami oszołomstwo, pikietujące z transparentami oklejonymi zdjęciami wydłubanych galaret, odchodzi do lamusa. Przywracanie „naturalnego porządku” zyskuje nowe oblicze.

W czasie Walnego Zgromadzenia Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia jedna z członkiń zarządu, Maria Gondek (nie mylić z Kają Godek) z Fundacji Fała Życia, zgrabnie, bo jednym zdaniem, nakreśliła clou programu: ochrona życia, bycie pro-life to szersza postawa, która nie powinna zawęzać się do walki z aborcją. Krótko mówiąc, w strawionym pożarem burdelu uznano, że warto zważyć każdemu. I tak fundacja pani Gondek zamierza zająć się promocją zdrowia psychicznego i fizycznego na każdym etapie życia, a swoje działania skierować do młodzieży, młodych małżeństw i seniorów. Naturalnie prując pod wyściółką altruizmu antyaborcyjną retorykę. Praca u podstaw z obustronnymi benefitami.

Wielka zjednoczona siła

Prezes Jerzy Kwaśniewski w mariażu Ordo Iuris z Centrum Życia i Rodziny upatruje zdolności mobilizacji społecznej i dotarcia do społeczności lokalnych. „Obserwowaliśmy skuteczne organizacje konserwatywne zza oceanu oraz analizowaliśmy metody działań lewicowych środowisk, łączących zdolności analityczne z silnym zapleczem społecznym i strukturami terenowymi. Stało się oczywiste, że w czasie tak wielu zagrożeń dla Ojczyzny musimy odpowiedzieć budową wielkiej zjednoczonej siły obrońców cywilizacji życia, rodziny i wolności. Gdy obrońcy wartości wydają się być w odwrocie – chcemy tchnąć w Polaków ducha nadziei. Dlatego łączymy siły dwóch największych niezależnych organizacji obrońców normalności” – napisał Kwaśniewski w newsletterze instytutu.

Brzmi jak pomruk prawicowego paralityka, ale wystarczy jeden rzut oka na rosnącą popularność ruchów pro-life w USA, żeby dojrzeć, że tam podobne farmazony w piasek nie wsiąkły. Ziad W. Munson, socjolog związany z Uniwersytetem Harvarda i Uniwersytetem Lehigh, w opublikowanej w 2009 r. książce „Proces tworzenia aktywistów ruchu pro-life. Jak działa mobilizacja ruchu społecznego” porównał tych, którzy nie popierają aborcji, ale zachowują to dla siebie, z aktywnymi uczestnikami ruchów antyaborcyjnych. „Proces charakteryzuje seria wydarzeń: kontakt z organizacją w zwrotnym punkcie życia, początkowy aktywizm, rozwój poglądów pro-life, wreszcie pełne uczestnictwo” – podsumował.

Innymi słowy, to nie światopogląd sprawia, że aktywiści przystępują do ruchu walczącego z aborcją, lecz ruch kształtuje światopogląd tych, których zwerbował.

Skraplanie absurdu

Żeby retoryka powrotu do etyki pierwszych chrześcijan padła na podatny grunt, potrzeba dwóch składowych: burzliwych czasów i gwałtownej polaryzacji społeczeństwa. Wydaje się zatem, że nie ma lepszego klimatu niż ten wokół nadwiślańskiego ugoru.

Przedstawienie spójnego obrazu życia i spraw rodzinnych, pokazanie, w jaki sposób się łączą, a także określenie możliwego programu politycznego w celu przywrócenia porządku prawnego, który nie stoi w sprzeczności z ludzką godnością i prawem naturalnym – to łakomy kąsek dla ruchów i partii religijnych oraz licznych sponsorów i ich ciężkich pieniędzy. Według badań socjologicznych amerykańscy przeciwnicy skrobanek to najczęściej osoby gorzej wykształcone, mniej majątne, mieszkające poza dużymi miastami, religijne. Z palcem w dupie można przekalkować tę charakterystykę na polskie realia.

To, że liberalizacja prawa aborcyjnego czy też, jak pokazuje krajowy przykład, sama dyskusja o zamiarze liberalizacji aktywizuje środowiska prolajferskie, nie jest niczym zaskakującym. Warto jednak mieć na uwadze, że nowe kierunki mobilizacji zniwelują błędy pierwszych bojowników o wyskrobka. Rozproszenie i brak doświadczenia w prowadzeniu kampanii, które działały na niekorzyść aktywistów, pozwoliły antyaborcjonistom wyciągnąć lekcję. Nawiasem mówiąc, już widać pewne zwiastuny nieco odmiennej PR-owo polityki obrońców macicznych galaret – chociażby w tym, że kobieta usuwająca ciążę ukazywana jest nie jako winna, lecz przede wszystkim jako ofiara zraniona przez aborcję. Kropla draży skałę.

Bez względu na finał nowej odsłony walki o prawo do aborcji trzeba mieć oko na drugą stronę barykady. Bo gęste bulgocze i może wykipieć.

IDALIA DUBICKA



Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ **Ogromny ból** powodują w naszych sercach podejmowane przez współczesne polskie władze działania, siejące wiele zamętu wokół dzieła katechezy, głoszące zapowiedzi dyskryminujące katechezę, katechetów, a przez to jeszcze bardziej tych, do których chcemy nieść słowa umocnienia. [...] Chcemy w akcie zawierzenia objąć modlitwą tych, którzy ten zamęt sięgają, często nieświadomie, a niejednokrotnie także w duchu złej woli, prosząc o łaskę nawrócenia. **Obejmujemy także modlitwą tych, którzy udzielili im mandatu zaufania, a którzy chcemy wspólnotę ludzi wiary. Czy się opamiętali i mieli świadomość, że swoimi decyzjami także**

mają w takich klimatach i takiej atmosferze niemalże udział.

bp Zbigniew Zieliński, Ekai.pl, 7 marca

■ Gdzie my jesteśmy? To dobre i trudne pytanie. Trudno odpowiedzieć, gdzie jesteśmy, bo cyrk jest zbyt lekkim słowem, a wariackowo może zostać uznane za mowę nienawiści. [...] **Dziś życie ludzkie zostaje zszargane i potraktowane jako głos wyborczy.** Jednocześnie widzimy, co jest celem niektórych formacji politycznych, czyli niszczenie życia i wprowadzanie kultury śmierci.

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, „Do Rzeczy”, 6 marca

■ **Kuszenie do bałwochwalstwa nie oszczędza ani wierzących, ani ateistów.** Ono pozostaje stałą pokusą wiary. Istota ludzka bowiem nie może żyć bez jakiegoś centrum, toteż świat oferuje supermarket bożków, którymi mogą być przedmioty, wizerunki, idee czy role.

ahp Stanisław Gądecki, „Do Rzeczy”, 3 marca

■ Synonimem lewicowej ideologii jest śmierć, **destrukcja i zgorzenie.**

ks. Janusz Chyła, X, 8 marca

■ Paradoxem niezmiernym jest fakt, iż szycowanie się do ewentualnej wojny wcale nie przerywa programów zmierzających do moralnego i duchowego osłabienia młodzieży, eliminowania rolnictwa jako dostarczyciela żywności oraz czynienia z aborcją czołowej zdobyczy postnowoczesnej cywilizacji. Absurdalność założonego w ten sposób celu świadczy tylko o jednym: **studzy i wyznawcy Księcia Ciemności składają mu jego ulubione ofiary.** [...] Nie wydają na zwykłych bojowników postępu, ale **aktywnych i dobrowolnych współpracowników Lucyfera, na „świętych szatana”, współwinnych jego coraz bardziej niepowypowiedzianych okrucieństw popełnianych w ramach naszej cywilizacji.**

ks. prof. Robert Skrzypczak, Opoka.org.pl, 7 marca

■ Dochodzimy do sytuacji, w której podawanie jakiegokolwiek lekarstwa dziecku przez szkolną higienistkę musi być konsultowane z rodzicami, a podawanie antykoncepcji awaryjnej nie. [...] Niszczy się

cywilizację życia, budowaną z dużym trudem przez lata. Mamy głęboką nadzieję, że te ideologiczne ustawy, obliczone na skrajną lewicę, po prostu nie przejdą. Liczymy na to, że **Polska jako ojczyzna św. Jana Pawła II jest silniejsza od ideologii cywilizacji śmierci.**

Jakub Bałtroszewicz, prezes Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia, Radio Maryja, 4 marca

■ Zaostrza się walka klas. Są osoby niedostosowujące się do liberalno-lewicowej ideologii i z nimi podejmuje się walkę, szczególnie trzeba walczyć z osobami słabszymi, czyli m.in. starszymi. Na pierwszy front idą seniorzy, którym można zabierać dobra w imię wspaniałego świata. Dlatego nazywam to **nowym komunizmem. Liberalno-lewicowa ideologia jest niezwykle agresywna wobec osób starszych.** [...] Proponuje się im eutanazję. Jak człowiek jest chory, to ma łatwy dostęp do eutanazji,

POŻYCZYSZ MINISTRANTA DO PIERWSZEGO?



w niektórych państwach odbywa się ona już **bez zgody osoby chorej.**

Patryk Jaki, europoseł (Suwerenna Polska), Radio Maryja, 2 marca

KLECHA

Papież pod pręgierzem

Zawstydzające i niegodne słowo „pokój”

Nie po raz pierwszy przychodzi mi, wojującej ateistce, bronić papieża przed katolikami – ale nadal mnie to zadziwia. Polscy papieści – w tym ci, którzy bez zmużenia oka akceptują najbardziej brutalne i niehumanitarne dogmaty Kościoła kat., odmawiające kobietom prawa do dysponowania własnym ciałem (nie tylko w sprawie aborcji, ale choćby skutecznej antykoncepcji), a gejom i osobom trans prawa do szczęśliwego życia – nagle mają do głowy tegoż Kościoła pretensje, gdy mówi to, co stanowi istotę katolicyzmu: że życie jest święte, a zabijanie człowieka jest złem.

Ziemski namiestnik diabła

Ostatnio papież wzbudził szał namiętności swoją wypowiedzią w rozmowie z Lorenzem Buccellą z Radiotelevisione svizzera, kiedy – zapytany przez dziennikarza o „wyrażaną przez niektórych opinie”, że Ukraina powinna wywiesić białą flagę i przystąpić do negocjacji – Franciszek odrzekł: „Wierzę, że ten jest silniejszy, kto widzi sytuację, kto myśli o ludziach, kto ma odwagę białej flagi, negocjacji. Słowo »negocjować« to odważne słowo. Kiedy widzisz, że przegrywasz, że sprawy nie idą dobrze, musisz mieć odwagę negocjować”.

„Wstydzisz się, ale ile śmierci to przyniesie? Negocjuj, póki czas” – apelował papież i dodał: „Nie wstydzicie się negocjować, zanim zacnie być jeszcze gorzej. Negocjacje nigdy nie są kapitulacją. To odwaga, by nie prowadzić kraju do samobójstwa”.

Ukraińskie władze zatrzęsły się z oburzenia, a w ślad za nimi polskie elity. Szczególnie bezwzględny dla papieża jest tzw. postępowy komentariat. „Od początku pełnoskalowej wojny w Ukrainie papież Franciszek wypowiada słowa zawstydzające i niegodne; tym bardziej niegodne, że przykryte płaszczem troski o ofiary” – wyrokuje w „Gazecie Wyborczej” Michał Olszewski (skąd wie, że troska papieża jest „płaszczkiem”?) w tekście pod przydługim tytułem „Diabeł na Kremlu, papież w Watykanie. Franciszek po raz kolejny kompromituje się w sprawie Ukrainy”.

Red. Olszewski dodaje też spostrzeżenie, które interesująco mieści się w zakresie rozumowania księdza Oka: „A przecież dla ludzi wierzących sprawa jest (a przynajmniej powinna być) oczywista: na Kremlu zasiada w tej chwili ziemski namiestnik diabła”. „Nie ulega wątpliwości, że wezwanie Ukraińców do podjęcia negocjacji jest skandalem” – podsumowuje dobiegający pięćdziesiątki komentator „GW” z młodzieńczą arogancją, która nieodmiennie wiąże się z sygnalizowaniem cnoty.

Wątpliwości

Otóż ulega. Na świecie – także w krajach kolektywnego Zachodu – są miliony ludzi, którzy takie wątpliwości mają. Bo one wynikają ze zdrowego rozsądku; z oglądu sytuacji, który wskazuje na to, że „sprawy nie idą dobrze” i Ukraina za chwilę zostanie sama. Opowieści o tym, że Unia Europejska nie jest w stanie wyprodukować miliona sztuk amunicji, które obiecała Ukrainie, ze względu na „niewystarczające zdolności produkcyjne”, są, jako żywo, żartem. To jest decyzja polityczna, podyktowana oczekiwaniami europejskich społeczeństw, które nadal w olbrzymiej większości popierają pomoc humanitarną, ale są coraz bardziej sceptyczne wobec wsparcia militarnego.

Różne badania robione w różnych krajach pokazują ten sam trend: 57 proc. Niemców było przeciw wysłaniu na Ukrainę rakiet Taurus; w innym sondażu 41 proc. opowiedziało się za tym, żeby Zachód naciskał na Ukrainę w sprawie jak najszybszego zakończenia wojny, także kosztem utraty części terytoriów. 37 proc. Austriaków sądzi, że Ukraina powinna zawrzeć z Rosją pokój za wszelką cenę. We Francji zaledwie co piąty respondent popiera wojskowe wsparcie dla Ukrainy; dwa razy więcej Francuzów jest za zmniejszeniem lub zakończeniem tego

ILUSTRACJA: KRZYSZTOF OLEJNIK

wsparcia. Przeciw zbrojeniu Ukrainy przez UE jest 51,5 proc. Słowaków, 74 proc. Węgrów i 60 proc. Włochów; w innym włoskim badaniu okazało się, że 47 proc. respondentów popierało węgierską postawę blokowania nowego pakietu pomocy militarnej. Politycy europejscy nie mogą w nieskończoność, nie popełniając politycznego samobójstwa, prowadzić polityki sprzecznej z oczekiwaniami wyborców; to jedna z zasad demokracji.

Myślenie nieżyczliwe

Opublikowany w drugą rocznicę inwazji sondaż, przeprowadzony w 12 krajach EU, wykazał, że zaledwie 10 proc. Europejczyków wierzy, że Ukraina ma szansę pokonać Rosję; dwa razy więcej spodziewa się rosyjskiego zwycięstwa.

37 proc. przewiduje – jak papież Franciszek – jakiś rodzaj kompromisu. Najwięcej wierzących w zwycięstwo Ukrainy było w Polsce, oraz, ex aequo, w Szwecji i Portugalii. Ale warto odnotować, że owo „najwięcej” to tylko 17 proc.

Kiedy respondentów zapytano nie o to, czego się spodziewają, ale czego by chcieli – największa grupa, 41 proc., odrzekła: „Gdyby to ode mnie zależało, Europa powinna zmusić Ukrainę do wynegocjowania umowy pokojowej z Rosją”. Za „wspieraniem Ukrainy w odebraniu wszystkich okupowanych terytoriów” było 31 proc. Ciekawe jest, nawiasem mówiąc, że za tą ostatnią opcją – którą polscy politycy i komentariat uważają za jedyną możliwą – opowiada się mniej niż połowa Polaków (47 proc.). Za naciskaniem na negocjacje jest prawie co czwarty nasz rodak, reszta nie wie albo ma to w nosie. W Niderlandach, Niemczech, Austrii, Rumunii, Włoszech, Grecji i na Węgrzech wyraźną przewagę mają zwolennicy przymuszenia Ukrainy do zawarcia pokoju z Rosją.

W USA, od których wszak tak naprawdę los wojny na Ukrainie zależy, zaledwie 27 proc. obywateli uważa, że Ameryka wydaje na tę wojnę za mało. Że za dużo – 37 proc., w tym aż 55 proc. republikanów. Trudno się zatem dziwić,

że Donald Trump – jak ostatnio obwieścił światu Viktor Orbán – zapowiada, że „nie da ani grosza na wojnę Ukrainy z Rosją, dlatego wojna się skończy”.

Ponadto – jak wykazał inny sondaż – 69 proc. Amerykanów poparłoby wezwanie Ukrainy przez Stany Zjednoczone do jak najszybszego rozpoczęcia negocjacji z Rosją przy udziale USA. Równy dwie trzecie zaakceptowałyby takie negocjacje, nawet gdyby wiązały się z kompromisem ze wszystkich stron.

Inaczej mówiąc: papież Franciszek powiedział tylko to, co myśli większość obywateli „kolektywnego Zachodu”, wskazując się odwagą, której brak zachodnim politykom, przemijającym się opiniami komentariatu bardziej niż zdaniem wyborców.

Ukraina oczekuje

À propos komentariatu: jeszcze jeden cytat z elity polskiej prasy.

Adam Szostkiewicz karci papieża w „Polityce”: „Nie takiej postawy papieża oczekuje wciąż walcząca Ukraina i solidaryzująca się z nią część zachodniej opinii publicznej, w tym liderów politycznych w państwach demokratycznych”.

Otóż, po pierwsze, w odróżnieniu od liderów politycznych papież nie kieruje się tym, czego oczekuje opinia publiczna; w przeciwnym razie dawno

już zaakceptowałby aborcję, antykoncepcję, seks przedmałżeński, rozwody i małżeństwa jedнопłciowe. Głowa Kościoła katolickiego ma w zakresie obowiązków głoszenie „prawd objawionych” temuż Kościołowi; a umiowanie pokoju i niezgoda na zabijanie należy do dość podstawowego kanonu.

Po drugie – jak wynika z wywodu powyżej – „zachodnia opinia publiczna” w swej większości wcale nie oczekuje tego, czego, przynajmniej deklaracyjnie, domagają się europejskie elity, a zupełnie szczerze redaktor Szostkiewicz.

I wreszcie po trzecie – i to będzie najbardziej nieuczynalna myśl w tym tekście – to, czego oczekuje Ukraina, jest rozstrzygające w bardzo niewielkim stopniu.

Można (choć nie w Polsce) dyskutować na temat współodpowiedzialności kolektywnego Zachodu za sytuację, która doprowadziła do bezsprzecznie nielegalnej i niemoralnej rosyjskiej agresji. Moim zdaniem ta współodpowiedzialność jest znaczna; Zachód dał Ukrainie złudne wrażenie bezpieczeństwa i przynależności, wbrew geopolitycznym realiom. Ale jedno dyskusji nie ulega: Ukraina jest dziś „klientem” Zachodu i jej los jest w pełni zależny od zachodnich liderów, którzy wcześniej czy później będą musieli posłuchać swoich coraz bardziej zmęczonych wojną wyborców.

Takie są realia, zupełnie nieuczule na strzeliste okrzyki wznoszone przez polski komentariat, który uważa, że jak zrugą papieża na łamach albo w TV, to prawie jakby wskoczył do okopów Mariupola.

Franciszek od początku tej wojny wykazuje się wielką odwagą, mówiąc to, co mu nakazują zasady jego wiary – a nie to, czego oczekują wcześniej mu dość życzliwe liberalne elity. A przy okazji – mówi to, co myśli większość wyborców tych elit.

Ile jeszcze Ukraińców – i Rosjan – musi zginąć, żeby decydenci zastanowili się nad jego słowami?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

WIARA CZYNI CZUBA

1. Parlament Helleński przyjął ustawę legalizującą małżeństwa jedнопłciowe. Przed głosowaniem zwierzchnik greckiej Cerkwi prawosławnej, arcybiskup Hieronim II, orzekł, że projekt jest „czystym złem” – mimo to 175 z 300 posłów zagłosowało za. Przeciw było tylko 71, w tym 21 komunistów, którzy raczej nie kierowali się względami religijnymi. Biskup Ambroży ogłosił: „Nasza Cerkiew jest obłożona... Należy wezwać do rewolucji przeciwko wszystkim tym, którzy rozmywiają prawo Boże. Sprawca tego moralnego przestępstwa, premier Grecji, i 175 deputowanych do greckiego parlamentu, powinno zostać ekskomunikowanych”. Na razie biskupi nie zaprosili prezydent Grecji Kateriny Sakellaropoulou na oficjalną mszę wielkanocną, bo usłyszeli, że po zbrodniczym głosowaniu posła na rządową imprezę w gejowskiej knajpie.

2. Delegacja Amerykańskiej Komisji ds. Międzynarodowej Wolności Religijnej (USCIRF) przedwcześnie zakończyła wizytę w Arabii Saudyjskiej po tym, jak przewodniczący komisji ortodoksyjny rabin Abraham Cooper został poproszony o zdjęcie kipy podczas zwiedzania historycznego miasta Ad-Dirijja. Arabia Saudyjska „przechodzi bardzo budujące zmiany” – ogłosił rabin Cooper – „jednak zwłaszcza w czasach szalejącego antysemityzmu poproszenie mnie o zdjęcie kipy uniemożliwiło nam kontynuowanie naszej wizyty”. Arabia Saudyjska jest teokratyczną monarchią, gdzie za porzucenie islamu grozi kara śmierci, za wątpienie w istnienie Boga idzie się do pierdła, a obchodzenie Gwiazdki i Wielkiejnocy jest zakazane – ale rabin zajmujący się badaniem wolności religijnej za główny problem uważa kipe.

3. Na kilka tygodni przed wyborami parlamentarnymi indyjski rząd uruchomił ustawę, która uzależnia otrzymanie indyjskiego obywatelstwa od wyznania kandydata. Zgodnie z ustawą hinduiści, parsowie, sikhowie, buddysty, dżiniści i chrześcijanie, którzy przybyli do Indii z Pakistanu, Afganistanu i Bangladeszu z obawy przed prześladowaniami religijnymi, mogą uzyskać obywatelstwo indyjskie w trybie przyśpieszonym. Przywilej ten nie dotyczy muzułmanów. Ustawa została pierwotnie przyjęta w grudniu 2019 r., ale nie weszła w życie po tym, jak protesty przedstawicieli 200-milionowej muzułmańskiej mniejszości zakończyły się bitwami na ulicach, tysiącami aresztowanymi i setką zabitych. Tym razem reżim Narendra Modiego uparł się, żeby ustawa o czystości rasy hinduskiej weszła w życie.

4. Uniwersytet Liberty – religijna uczelnia założona przez czołowego promotora obskurantyzmu ery Reagana pastora Jerry'ego Farwella – ma zapłacić 14 mln dolarów kary za łamanie ustawy Clery nazwanej tak na cześć studentki Jeanne Clery, którą zgwałcił i zamordował kolega z kampusu. Ustawa zobowiązuje uczelnie korzystające z publicznych środków – Liberty dostała 847 mln dolarów na granty i pożyczki studenckie – do zachowywania szczególnych środków bezpieczeństwa, ostrzegania studentów o zagrożeniach i raportowania przestępstw. „Władze uczelni nie poinformowały społeczności kampusu o wyciekach gazu, alarmach bombowych i wiarygodnych oskarżeniach o powtarzające się akty przemocy seksualnej, dotyczących m.in. uniwersyteckiego urzędnika wysokiego szczebla i uczelnianego atlety” – czytamy w raporcie.

5. Norweski sąd podtrzymał decyzję o odebraniu krajowym świadkom Jehowy statusu wspólnoty religijnej, który daje prawo do udzielania ślubów i dotacji z budżetu. Status taki tracą organizacje religijne, które „stosują przemoc, przymus lub groźby, naruszają prawa dziecka i ustawowe zakazy dyskryminacji”. Jehowi, których jest w Norwegii 12,6 tys., dostawali z norweskiego budżetu równowartość 6 mln zł, ale już dwa lata temu zostali ostrzeżeni, że ich niektóre praktyki – jak zakaz kontaktu z byłymi wyznawcami, choćby z najbliższymi rodziną – łamią te zasady. Norweski sąd uznał, iż założenie, że odszczepieniec ma mieć „serce skruszone i zdruzgotane”, co przynęca go z podkulonym ogonem z powrotem na łono Kościoła, łamie prawa człowieka, w szczególności prawa dzieci, którym zakazuje się kontaktów z rodzicami. Punkt dla Norwegii.

KAZACZOK Z CZŁOGAMI

★ „The Wall Street Journal” ujawnił projekt traktatu pokojowego negocjowanego w Stambule w kwietniu 2022 r. (o tych negocjacjach pisałem szerzej w „NIE” 38/2023). Jak donosi gazeta, Rosja żądała zredukowania liczebności armii ukraińskiej do 85 tys. żołnierzy i utrzymania neutralności Ukrainy. Rosjanie nie sprzeciwiali się jednak ew. akcesji Ukrainy do UE. Ponadto Rosja domagała się uznania języka rosyjskiego, obok ukraińskiego, za urzędowy oraz pozostawienia Krymu pod kontrolą Federacji Rosyjskiej. Status Donbasu miał zostać ustalony na spotkaniu Zełenskigo z Putinem. Warto zaznaczyć, że Rosja chciała, aby gwarantami realizacji porozumienia byli wszyscy członkowie Rady Bezpieczeństwa ONZ (Chiny, Rosja,

USA, Wielka Brytania i Francja) oraz Białoruś. Z kolei Ukraina chciała dodatkowych gwarancji ze strony Turcji. Gdyby do porozumienia doszło, ocalone by życie dziesiątków tysięcy młodych ludzi, Ukraina kontrolowałaby znacznie większą część terytorium niż obecnie, a jej gospodarka i infrastruktura nie byłaby doszczętnie zniszczona.

★ Polityk PSL, szef Urzędu Rady Ministrów w rządzie Waldemara Pawlaka, Michał Strąk, mówi w wywiadzie dla „Plusa Minusa”: „Odnoszę wrażenie, że pod względem decyzyjności lepiej jest w PRL niż w wolnej Polsce [...] Teraz nasi politycy też jeżdżą po instrukcje, tyle że do Brukseli. I Bruksela pilnie obserwuje, co się u nas dzieje, podobnie jak kiedyś Mo-

skwa. W gruncie rzeczy z punktu widzenia geopolityki nie ma tak wielu różnic między Polską Ludową a III Rzeczpospolitą. Byliśmy i jesteśmy krajem średniej wielkości. Aspirowaliśmy i aspirujemy do podmiotowości”. Różnica jest taka, że w PRL radziecki ambasador nie chodził z gospodarskimi wizytami po ministerstwach, jak dziś Mark Brzeziński.

★ Deputowani Rady Najwyższej Ukrainy wytoczyli przeciw Rosji najcięższe wojenne działa: przedstawili projekt likwidacji Międzynarodowego Dnia Kobiet. Jak tłumaczyć wnioskodawcy, święto zostało ustanowione w czasach radzieckich, a co gorsza, jest obchodzone w Rosji. Ukraińskim parlamentarzystom przypominamy, że Rosjanie obchodzą także m.in. Nowy Rok, Wielkanoc oraz Boże Narodzenie.

★ 32 lata za późno Agnieszka Romaszewska-Guzy została wyrzucona z Te-

lewizji Polskiej. Tak opisała to wiekopomne wydarzenie na swym Facebooku: „A co do mnie to nikt mnie nie »robił« szefową kanału Biełsat i nikt mnie nie przekupstwem stamtąd nie wygoni. Dzieła, któremu się poświęciło prawie już 18 lat życia, dobrego dla Polski i jej sąsiadów się nie sprzedaje dla wygody kolejnych jakże przemijających zarządów (?)TVP. 16 moich kolegów, w tym mój bliski piesdziej na Białorusi w tym jedna pracownica etatowa TaVP i jedrń mój bliski przyjaciel i współpracownik a ja miałabym się poddać?? Zawsze można mnie oczywiście zwolnić, zawiesić, odsunąć – siłą. No i tak sie właśnie dzieje”. Jak na dziennikarkę z 32-letnim stażem Romaszewska znakomicie posługuje się językiem polskim.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

Dzieci umierają i będą umierać.

Niespełna miesiąc temu weszła w życie tzw. ustawa Kamilka, wprowadzająca nowelizację kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, a także zakładająca zmiany w kodeksie karnym. Dokument nazwany na cześć ośmiolatka z Częstochowy, który poniósł śmierć w wyniku ran odniesionych po przypiekaniu na domowym piecu, ma być nową odsłoną państwowej walki z przemocą wobec dzieci. Kompletnie nic z tych zapowiedzi nie zrobił sobie 26-latek ze Świebodzina w województwie lubuskim, który tak troskliwie uciszał swojego 7-miesięcznego syna, że zrobił mu w czaszce dodatkowy otwór. Milutko byłoby się przyczepić, że niby ustawa weszła, a funta kłaków niewarta, ale nie bądzmy małostkowi. Zmiany realnie wejdą w życie za pół roku, problem w tym, że i wówczas niewiele z nich wyniknie.

Ślady zderzenia z pięścią

Historia ze Świebodzina przemknęła przez media lotem błyskawicy i wywołała miałkie wzburzenie. Nie ma się czemu dziwić, zatłuczone na śmierć dziecko jest wpisane w polski krajobraz jak paczkomaty i psie gówna na trawniku. Może gdyby matka dziecka była gwiazdą Instagrama albo konkubent bodaj właścicielem fabryki mrożonek, których reklama leci w telewizji, truchło kolejnej ofiary krzywego rodzicielskiego uczucia przykuło by uwagę na dłużej.

Niestety, schemat sytuacji zabił nośność tematu. Zwłoki oseska przy ulicy Topolowej w Świebodzinie (to tam, gdzie stoi największy Chrystus w Polsce) 7 marca odkryła babcia chłopca. Przybyłe na miejsce zdarzenia służby potwierdziły, że ciało dziecka nosiło ślady zderzenia z pięścią dorosłej osoby. W sprawie został zatrzymany 26-letni Robert P., tzw. ojciec, który poprzedniej nocy sprawował opiekę nad synem i dwuletnią córką. 39-letnia matka dzieci również została zatrzymana przez policję, ale dzień wcześniej i za osiągnięcia w innej dyscyplinie – kradzież z włamaniem.

Aby oddać poziom gęstości tej sprawy, warto nadmienić, że rodzina nie tylko była pod opieką Ośrodka Pomocy Społecznej w Świebodzinie, ale też na jego wniosek we wrześniu ubiegłego roku Sąd Rodzinny zdecydował, że niemowlak i jego siostrzyczka ze względu na fatalne warunki bytowe powinni trafić pod opiekę rodziny zastępczej. Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie robiło, co mogło, a że z powodu braku wolnych miejsc mogło niewiele, pieczy zastępczej szukano długo. Sąd rodzinny odebrał informację o znalezieniu rodziny zastępczej dzień przed ujawnieniem ciała. Jak pech, to pech.

Co gorsza, żadna ustawa Kamilka ani wszystkie pokrewne nie naprostują głęboko zakorzenionej patologii społecznej, dopóki ciało ustawodawcze nie dojrzy, że system, który ma pomagać i wspierać, nie tyle kuleje, co pełźnie z upierdolonymi członkami.

Pudrowanie trupa

Umówmy się, że gdyby nie fakt, że skatowany Kamil z Częstochowy odmeldował się w zaświatach w roku wyborczym, pies z kulawą nogą nie zwróciłby na niego uwagi. Zrządzeniem losu nieszczęsny zgon jeszcze bardziej nieszczęsnego dziecka zbiegł się z kampanią, skutkiem czego ponadpartijny wiatr wzniosł polityczne żagle. Patrząc z boku na zaangażowanie parlamentarzystów i spłodzony przez nich pakiet przepisów prawnych, można by pomyśleć, że coś się w końcu ruszy i grono aniołów będzie się rzadziej powiększać za sprawą rodzicielskich tortur. Niestety nic bardziej mylnego.

– Ta ustawa zmienia paradygmat myślenia

Tandeta Kamilka



Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

o przemocy w Polsce. Nie tylko mówi, jak reagować, kiedy do przemocy doszło, ale przede wszystkim nakazuje wyciągać wnioski i przeciwdziałać krzywdzeniu dzieci. Ta ustawa to hołd dla Kamilki i innych dzieci, które są bądź były krzywdzone w dzieciństwie. Dodatkowo ustawa zmienia długo wyczekiwane standardy ochrony małoletnich przed przemocą, które będą obowiązywały we wszystkich placówkach zajmujących się dziećmi. Te przepisy są po to, by wszyscy wiedzieli, kiedy trzeba reagować i jak należy reagować, gdy widzimy czy podejrzewamy, że dziecku dzieje się krzywda – powiedziała w jednym z wywiadów rzeczniczka praw dziecka Monika Horna-Cieślak.

Obowiązkami wprowadzenia standardów ochrony małoletnich zostały objęte m.in. organy zarządzające jednostkami systemu oświaty (przedszkola, szkoły i schroniska młodzieżowe), opiekuńczymi, wychowawczymi, resocjalizacyjnymi, religijnymi, artystycznymi, medycznymi, rekreacyjnymi i sportowymi – słowem wszystkimi, do których uczęszczająurchlaki. Co więcej, podmioty świadczące usługi hotelarskie, turystyczne czy prowadzące inne miejsca zakwaterowania zbiorowego również będą musiały liznąć nowe przepisy i baczniej lypać okiem na kwiat narodu polskiego.

Dziura na glutu

Najbardziej rozczulający jest punkt ustawy o wdrożeniu procedury tzw. Serious Case Review – czyli obowiązku analizy najpoważniejszych przypadków przemocy wobec najmłodszych. W każdej takiej sprawie ustalone będzie, dlaczego nie podjęto odpowiednich działań, zanim dziecku stała się krzywda, a także co robić, aby w przyszłości zapobiec tragicznym zdarzeniom.

Bądźmy poważni, naprawdę nie trzeba być geniuszem, żeby zauważyć dziurę, gdzie wpadają Kamilki i reszta glutów, którym okłady z rodzicielskich kopniaków i pięści nie pozwalają dorosnąć.

Politycy zajęci sypaniem brokatu na prawniczą laurkę jakby zapomnieli, że przepisy same nie wej-

dą z misją ratunkową do zarosłych brudem melin unurzanych w smrodzie przetrawionego alkoholu. Według danych Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej w całej Polsce zatrudnionych jest ponad

22 tys. pracowników socjalnych; na każdego z nich – zgodnie z ustawą – powinno przypadać 50 rodzin. W rzeczywistości przypada około 100.

Mediana zarobków w tym sektorze wynosi 4750 zł brutto, co – delikatnie mówiąc – nakazuje przypuszczać, że aktualnie, z całym szacunkiem, trzeba zamienić się z chujem na łyby, żeby wybrać taką ścieżkę kariery.

Przykład ze Świebodzina (a jest on tylko jednym z wielu) pokazuje, że w kwestii pieczy zastępczej popyt przerósł podaż. Według danych GUS z 2022 r. liczba rodzin zastępczych zmniejszyła się o 117, do 56 240. Pod ich opieką znajdowało się 56 240 dzieci, z czego większość (64,1 proc.) w ramach rodziny spokrewnionej. Mimo że rodzinna opieka zastępcza stanowi priorytetową formę pieczy zastępczej i jest kilkukrotnie tańsza od opieki instytucjonalnej w ośrodkach opiekuńczo-wychowawczych, liczba rodzin zastępczych systematycznie maleje.

Strategia

Nie będzie żadnym zaskoczeniem, że brakuje rozwiązań systemowych, które zachęciłyby szersze grono do tego typu pomocy – zarówno w kwestii ekonomicznej, jak i wsparciu psychoedukacyjnym i mentoringowym dla opiekunów. Szczególnie że dzieciarnia wydłużana ze szlamu patologii rzadko kiedy przypomina sierotki z baśni Andersena, które wystarczy umyć i nakarmić, żeby znów pierdziały szczęściem.

Potrzeba zwiększenia budżetu na szeroko pojętą pomoc społeczną, dokładnej analizy efektywności wydatkowania publicznych środków, inwestycji w szkolenia dla pracowników sektora i alokacji kasy na nowoczesne technologie, które pozwolą usprawnić zmurszały system procesów decyzyjnych, to, krótko mówiąc, dziura bez dna. Żaden rząd nie strzelił sobie w kolano, żeby przejechać pieniądze na tak mało intratny z PR-owego punktu widzenia biznes. To się zwyczajnie nie opłaca. Produkowanie kolejnych medialnie dopieszczonych przepisów i rzucanie nieświeżego kadrowego mięsa na pole przegranej z góry bitwy to jedyna długofalowa strategia, na którą państwo chce i tak naprawdę może sobie pozwolić. Nieważne, że nie działa. Grunt, że sprzedane.

IDALIA DUBICKA

ETYKA BEZBOŻNA

Długofalowe skutki ściągania w szkole.

Bratanek Rysia „kilometrówki” Czarneckiego, niejaki Paweł Cz. (zachodzę w głowę, co też może być po tym „Cz.”, ale jakoś mi ta rozkmina nie idzie), siedzi sobie w areszcie i czeka na sprawę, bo się go czeplił, że sprzedaje dyplomy MBA po dziesięć kaffi za sztukę, kradnie kasę, molestuje seksualnie, a w ogóle to przewodzi organizacji przestępczej. Razem z nim aresztowano jeszcze pięciu innych znacznych akademików. Cóż, był popyt na lewe dyplomy, to znalazła się i podaż. A przestępcy od tego właśnie są, żeby popełniać przestępstwa. Gdzie tu robota dla etyka? Ano taka jest robota, że przestępcy nie biorą się znikąd i nie funkcjonują w społecznej próżni. Wokół nich zawsze jest jakieś sprzyjające ich niecnym procederom środowisko. Bardzo wielu ludzi musiało zrobić bardzo wiele małych złych rzeczy, żeby taki Cz. mógł urosnąć, zainstalować się w systemie edukacji i rozkręcić swój przestępczy biznes. Może i Cz. nie jest moralnie interesujący. Ot, zdemoralizowany i jednoznaczny w swym zepsuciu typ. Do sumienia przemawiać mu już za późno. Jednakże rozmaici jego pomagierzy i „ułatwiacze” to już inna historia. Im jeszcze warto pokazać oskarżycielski palec.

Oczywiście wiadomo, że Collegium Humanum było (i jest, bo na razie ma się dobrze i jest z siebie bardzo zadowolone) imprezą pisowską, służącą cwaniaczkom od Sasina do wyrabiania sobie lewych kwitów, dzięki którym dostawali

potem złote synekurki w spółkach skarbu państwa. Ale PiS to PiS – nie oczekujemy tu przecież prawa i sprawiedliwości, nie mówiąc już o moralności. PiS to po prostu różni panowie i panie pisane z imienia i inicjału. Inaczej ma się natomiast sprawa ze środowiskiem akademickim, bo przecież od niego oczekujemy całkiem sporo pod względem moralnym oraz, rzecz jasna, intelektualnym. A to właśnie to środowisko było glebą, na której wyrósł tak prężnie pęd Pawłowy i wydał swój obfity kryminalny owoc. Tysiące małych miernot i oportunistów, cwaniaczków i prostaków pracowało na ten spektakularny sukces.

Wszystko zaczyna się w szkole, gdzie może i większość dzieci odpisuje od kolegów albo, zamiast samodzielnie napisać wypracowanie, ściąga coś z internetu. Nauczyciele i rodzice to wiedzą, lecz dla ułatwienia sobie życia przysmykają oko. I tak już pacholeciem będąc, mieszkaniem sytego Zachodu (bo nie wszędzie w świecie tak jest) uczy się, że oszukiwanie jest czymś normalnym, a normy i zasady uczciwości są jakby tylko na niby, przykrywają niczym grą pozorów prawdziwe stosunki społeczne, których istotą jest równowaga interesów. I tak oto cwaniacka zasada „rączka rączkę myje” zaczyna górować nad rzetelnością, prawdomównością, obowiązkowością i honorem.

Na studiach trzeba oddawać jakieś prace zaliczeniowe. Zwykle nie pisze się ich samodzielnie i prawie nikt tego nie oczekuje. Po prostu beczel-

R E K L A M A

PROF. ADAM GIEREK
POLITYKA KLIMATYCZNA UE

PROF. PIOTR KIMLA
NATO BEZ USA?

TOMASZ MIŁKOWSKI
TEATR TELEWIZJI CZEKA RESET

JACEK PAŁKIEWICZ
ŚLADAMI MARCA POLO

tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

PROF. ADAM GIEREK
POLITYKA KLIMATYCZNA UE

PROF. PIOTR KIMLA
NATO BEZ USA?

TOMASZ MIŁKOWSKI
TEATR TELEWIZJI CZEKA RESET

JACEK PAŁKIEWICZ
ŚLADAMI MARCA POLO

**RANKING
DYPLOMATÓW I DYPLOMATÓWKÓW**

**KIM PIŚ
OBSADZIŁO
AMBASADY**

?

Po śmierci Tomasza Komendy przez media przeszła niewielka falka oburzenia na niesprawiedliwość wyrządzoną człowiekowi, skazanemu na 25 lat i uniewinnionemu po 18. Jeden felieton Andrzeja Stankiewicza z Onetu (dziś za paypallem, żeby liczba czytających te herezje nie była nadmierna), artykuł Marii Ejchart-Dubois w „GW”, jeszcze kilka wzmogów emocjonalnych i to wszystko. „Przegląd” w artykule Andrzeja Sikorskiego dobrze zebrał wszystko to w jedną kupkę i treściwie zawarł opis sytuacji.

Białej księgi nie będzie

Już w gruncie rzeczy wszystko wiadomo: Tomasz Komenda został na policji zmuszony przemocą do przyznania się do winy; świadkowie kłamali; prokuratura (kilku prokuratorów) nie weryfikowała dowodów i naprędcie skleiła akt oskarżenia, realizując skądinąd zamówienie ówczesnego prokuratora generalnego Lecha Kaczyńskiego, by owego „zbira” (określenie Kaczyńskiego) jak najszybciej ukarać. Ten kompletnie niesprawdzony akt oskarżenia przedstawiono w sądzie; sąd niczego nie weryfikował, nie dochodził prawdy, wierzył bez zastrzeżeń prokuraturze, choć przy minimalnym choćby poziomie krytycznej analizy można było to wszystko obalić małym palcem lewej ręki; biegły kłamał – wszystko po to, by wreszcie wydać wyrok praktycznie skazujący człowieka na karę śmierci, tylko odsunięty w czasie.

Po uniewinnieniu Komendy Zbigniew Ziobro nakazał wszczęcie śledztwa w celu ujawnienia i ukarania winnych tych zbrodniczych zaniedbań. Po sześciu latach śledztwo umorzono, nie znajdując winnych. To, owszem, urąga podstawowemu poczuciu sprawiedliwości, ale wszystko odbywa się zgodnie z prawem.

Sikorski wzywa, żeby wobec totalnej klęski wymiaru sprawiedliwości w sprawie Komendy minister sprawiedliwości Adam Bodnar opublikował Białą Księgę z nazwiskami odpowiedzialnych za tę – w istocie – zbrodnię sądową. Spokojnie, nic takiego się nie stanie. Pan minister ma však inne ważne rzeczy na głowie i nie ma czasu na dopieszczanie zwykłej ludzkiej tęsknoty za sprawiedliwością.

Skoro już wiadomo, że nikt nie zostanie ukarany, to warto może się zastanowić, jakie są szanse, by podobne sytuacje się nie powtarzały.

W 2018 r. podczas ogłaszania uniewinnienia Tomasza Komendy burzliwie wyraziłem nadzieję, że niebawem zobaczymy ukaranych tych łobuzów, którzy świadomie doprowadzili do skazania niewinnego człowieka. Towarzyszącą mi wówczas pani mecenas prychnęła

Był człowiek, nie ma człowieka, wszystko zostało po staremu. Cisza po Komendzie

na moją naiwność z politowaniem. „Nikommu nie zrobią” – oznajmiła kategorycznie. Bo za dużo z tym byłoby roboty, a nikomu się nie chce i chcieć się nie będzie. Po sześciu latach rzeczywistość pokazała, że miała całkowitą rację.

Szwadrony Komendów

Przebiegłem się zatem po kilku prawnikach, teoretykach i praktykach, by zapytać z właściwą sobie kulturą, czemu, do kurwy nędzy, funkcjonariusze wymiaru sprawiedliwości, którzy zniszczyli, a tak naprawdę zabili niewinnego człowieka, a których dane osobowe są łatwe do zweryfikowania, śpią spokojnie. Mało tego: często kontynuują pracę w tym samym zawodzie, mają widoki na awans i pięknie rozwijającą się karierę lub choćby na wysoką emeryturę. Rzecz nie w rozliczeniach – choć nie ma co się fałszywie odżegnywać od tego pomysłu. Chodziło mi raczej o sprawdzenie, czy w obecnej prawnej rzeczywistości, kształcie obowiązującego prawa takie rzeczy jak ta z Tomaszem Komendą mogą się powtórzyć.

Nie będę Państwa trzymał w niepewności: oczywiście, że mogą. Mało tego, mamy to w zasadzie zagwarantowane.

Otóż warto sobie uświadomić, że w polskich więzieniach siedzi pokaźna liczba Tomaszów Komendów. Pomyłki sądowe zdarzają się zawsze i zdarzać się będą; ich przyczyny to temat na oddzielną pokaźnych rozmiarów biblioteczkę. Chodzi jednak o to, że dobry system z tych pomyłek wyciąga wnioski, eliminuje sytuacje, które doprowadziły do błędu, i jest gotów zadośćuczynić ofierze pomyłki lub jej rodzinie. Nie handryczy się o wysokości odszkodowania, tylko buli bez wahania, bo w tym jest gwarancja jego autorytetu i powagi: w umiejętności przyznania się do błędu i zadośćuczynienia. W Polsce takiego systemu nie ma.

I nie jest to dziełem PiS, choć ten zrobił bardzo wiele, by wadliwość działania systemu była jego cechą immanentną.

W latach 90. podejmowane były próby stworzenia polityki karnej w takim kształcie, który odpowiadałby celom kary z art. 53 kk – w dużym skrócie, wymierzania kar sprawiedliwych i adekwatnych ludziom winnym. Jednak od 2000 r. polityka ta uległa raportowej zmianie, co moi rozmówcy wiążyli z objęciem stanowiska ministra sprawiedliwości w rządzie Jerzego Buzka przez Le-

cha Kaczyńskiego. Jego ministrowanie charakteryzowało się walką z sądami i naciskami wobec prokuratury, by występowała jak najczęściej o orzeczenie aresztu jako środka zapobiegawczego. Oczywiście areszt orzeka sąd, ale jeżeli w sądzie spotka się żądanie prokuratury z jednej strony, a niedoświadczony, za to żądny awansu sędzia z drugiej, to sukces wniosku aresztowego murowany. Efekt zaczął być widoczny od razu okiem gołym i nieuzbrojonym: areszty i więzienia pękały w szwach. W takiej sytuacji o żadnej polityce resocjalizacyjnej mowy być nie mogło.

Populizm penitencjarny

Od siebie jednak dodam, że takie oto zmiany, proponowane przez Lecha Kaczyńskiego, były odpowiedzią na żądania państwa była twardsza. Nastąpiła trwała zmiana polityki penitencjarnej na represyjną i ukierunkowaną na dolegliwość kary, a nie jej rolę resocjalizacyjną. W takich właśnie ramach skazanie faceta niewinnego jest dużo łatwiejsze niż w systemie kierującym się humanitarnymi zasadami. Bo jeżeli cały system sprawiedliwości i aparat ścigania nawiązane są na to, żeby jak najmocniej przywalić sprawcy – to już samo bycie podejrzanym stawia człowieka na przegranej pozycji.

W tle sprawy Komendy były nie tylko rażące omyłki, ale też działania umyślne i zbrodnicze zaniedbania sądu. Kiedy opinia publiczna żądała krwi, nikt nie weryfikował prawdziwości przedstawionych zeznań. Media mówiły o naciskach Lecha Kaczyńskiego na prokuraturę, by jak najszybciej formułowała akt oskarżenia i żądała najwyższego możliwego wymiaru kary.

I nie chodziło tylko o Komendę. Przed laty opisywałem sprawę uniewinnienia matki zamordowanego w 2001 r. trzyletniego Michałka. Matkę oskarżono o sprawstwo kierownicze i skazano na 25 lat więzienia, a ówczesny minister Lech Kaczyński publicznie ubolewał, że w polskim kodeksie karnym

nie ma już kary śmierci. Potem, dzięki nieustępliwej postawie obrońcy oskarżonej, Grzegorza Lemańskiego, kobietę uniewinniono. Minęło nieomal ćwierć wieku, ale system zainicjowany przez „świętej pamięci brata prezesa” się nie zmienił. Na decyzje sądu, a zatem na wyroki, ma wpływ opinia publiczna, bo nawet jeśli sędzia w trakcie rozprawy w głośnej i bulwersującej sprawie nie



czyta gazet, nie słucha radia, nie ogląda telewizji i izoluje się od własnych kolegów, to minister sprawiedliwości w głos ulicy wsłuchuje się z najwyższą uwagą. I już znajdzie sposób, by jego sugestia co do kształtu oczekiwanego wyroku doszła do uszu sędziego. Niewielu sędziów jest naprawdę niewzruszonych na takie argumenty.

Korposuperglue

Mogą zdarzyć się, i zdarzają, sprawy, kiedy zostanie skazany człowiek niewinny. Pytanie, kiedy to efekt pomyłki i niekorzystnej koincydencji, a kiedy umyślnego, celowego działania. W tym drugim wypadku pojawia się pytanie, co zrobić z człowiekiem, który w imieniu państwa do tej sytuacji doprowadził. Można wystąpić o pociągnięcie go do odpowiedzialności, pod

warunkiem wszakże udowodnienia wspomnianego działania umyślnego. A tego, twierdzą moi rozmówcy, tak naprawdę zrobić się nie da. Na pewno w przypadku sędziego, który zawsze przecież może powoływać się na fakt, że pracował na danych otrzymanych od stron i nie ma obowiązku sprawdzania ich prawdziwości. To prawda oczywiście – choć środowisko sędziowskie niemal zawsze dokładnie wie, jaka jest prawda.

Nie da się w takich sprawach wskazać jednego konkretnego winnego. To jest często, a na pewno w sprawie Komendy, cały łańcuch ludzkich i systemowych błędów lub przestępczych działań czy zaniechań.

Nie jest to sprawa powszechnie znana: po sprawie Komendy grupa prawników zrobiła przegląd spraw trudnych, w których wystąpiły dramatyczne błędy, skutkujące ludzkimi tragediami niesłusznie skazanych. Przekazano raport ówczesnemu prokuratorowi generalnemu Andrzejowi Seremetowi.

Obiecał go nie tylko przeczytać, ale i na podstawie raportu wyciągnąć wnioski, które zaproponuje do wdrożenia. Autorzy do dzisiaj nie dostali odpowiedzi na ów dokument.

Oczywiście kwestia znalezienia systemowych błędów w jednej lub kilku bulwersujących sprawach i ich późniejszej eliminacji jest sprawą ogromnej wagi. Jednak nie kupuję argumentów, że to jedyne, co można zrobić, bo odpowiedzialność personalna jest często niemożliwa ze względu na wspomniane przedawnienie, odejście winnego z zawodu itd.

No dobrze, może nawet być tak, że prawo nie pozwala skazać winnego, bo sprawa się przedawniła. W takich wypadkach system powinien mieć sprawny mechanizm samooczyszczania się, a ludzie, którzy sprzeniewierzyli się podstawowym zasadom, powinni być przez system eliminowani.

To jednak, jak wiemy, nie nastąpi. W polskim systemie sprawiedliwości (nie tylko zresztą w nim) solidarności korporacyjna jest klajstem, który załepi każdą skazę, a nawet wielką śmierdzącą dziurę. Dopóki to się nie zmieni, każdy z nas może stać się Tomaszem Komendą.

MACIEJ WIŚNIEWSKI

Przy pisaniu tekstu opierałem się na rozmowach z prof. Moniką Platek oraz dwoma adwokatami, którzy prosili o nieujawnianie ich danych osobowych.

rynsztoku – akademickim



nie ściaga się (plagiatuje) z internetu i wszystko jest w porządku. Stąd zaś już tylko krok do takich procedurów jak zlecenie pisania prac licencjackich

kich i magisterskich, a nawet doktorskich. Jest na takie usługi wielki popyt, a podaż też niemała. Niby to bardzo poważne przestępstwo, bo jest tu i wyłudzenie należnego dokumentu, i oszustwo, i poświadczanie nieprawdy, i kradzież cudzej własności intelektualnej (plagiat), a nawet (w razie skorzystania z wydebionego w ten sposób dyplomu) oszustwo wobec pracodawcy. W skrajnym przypadku może dojść nawet do przywłaszczenia funkcji publicznej przez osobę nieuprawnioną. Niestety, to tylko teoria. Prokuratorzy traktują tego rodzaju przestępstwa jak drobne wykroczenia i odmawiają ich ścigania. Ich mentalność i wrażliwość moralna jest pewnie na tym samym mniej więcej poziomie co u studentów i pracowników uczelni, którzy „nie widzą wielkiego problemu”.

W taki sposób świat akademicki wytworza atmosferę sprzyjającą nadużyciom. Jednakże to jeszcze nie wystarcza do tego, aby przejmować całe uczelnie bądź tworzyć nowe w celu handlowania fikcyjnymi dyplomami. Potrzeba czegoś, co pozwoliłoby cwaniaczkom w rodzaju Pawła Cz. uzyskiwać stopnie naukowe, czyli doktoraty i habilitacje, dające uprawnienia do prowadzenia działalności akademickiej. Tym czymś

jest zaś drugi albo i trzeci obieg w ramach systemu akademickiego. Składają się na niego rozmaite pasożytnicze pseudouczelnie, kreujące własne

niby to naukowe czasopisma, gdzie produkują się zatrudnieni tam pseudonaukowcy, oraz nadające doktoraty z prac, które na porządek uczelni byłyby śmiechu warte. Żeby taka niby-uczelnia mogła działać i zacząć produkować pełnowymiarowych Pawłów Cz., musi w pewnym momencie dostać uprawnienia do nadawania doktoratów i habilitacji. Do tego jednakże wystarczy zatrudnić kilku emerytowanych profesorów. Będzie kadra, to będą i uprawnienia.

Takie szkółki są trojakiego rodzaju. Jedne są kościelne. One mają najlepiej, bo

państwo praktycznie nie ma wpływu na to, jaki ksiądz ma dostać doktorat czy nawet profesurę za pisanie wiernopoddańczych panegiryków o Janie Pawle II.

Państwo w zasadzie tylko za to płaci. Są jednakże również świeckie prowincjonalne szkółki, które dostają odpowiednie papiery na produkowanie

wanie doktorów, choć na wszelki wypadek najczęściej zatrudniają one kilku księży dobrodziejów. Ich właściciele sądzą, i słusznie, że wtedy włos im z głowy nie spadnie. Natomiast trzeci rodzaj pseudouczelni, gdzie każdy bez wysiłku może sobie załatwić stopień naukowy, to uczelnie słowackie. Pod pretekstem, że polski jest podobny do słowackiego, Polacy składają tam swoje napisane po polsku prace, które to niby są recenzowane przez słowackich profesorów, wskutek czego bystrzaki szybciej dostają stopień naukowy, który musi być następnie respektowany w całej Unii. I tą drogą poszedł właśnie Paweł Cz. Bywa i tak, że do kolekcji kupuje się jeszcze (dosłownie kupuje) jakiś egzotyczny doktorat honoris causa (dawniej modne były te z Krasnojarska), a wtedy to naprawdę już można chodzić w gorli wielkiego utytułowanego profesora. Kto się na to nabiera? Zawsze się trochę takich znajdzie w wymiarach powiatowo-przedmieściowych.

W tym morzu naiwności, miernoty i bezradności podszytych oportunistem i ogólnym brakiem kultury rodzą się istne rekiny siejące moralne spustoszenie w całej dziedzinie akademickiej. To tacy ludzie wyłudzą pieniądze z NCBiR i innych instytucji, sprzedają dyplomy i robią grube przekręty. Od małego widzieli moralną nędzę i uczynili z niej sobie sposób na życie. We własnym mniemaniu robią to samo co „wszyscy inni”, czyli plagiatorzy i klienci cwaniaków piszących prace na zamówienie, tyle że robią to lepiej, na większą skalę i profesjonalnie. Więc może powinniśmy ich podziwiać, zamiast potępiać? Wszak to dzielni chłopcy, nasza krew!

JAN HARTMAN

Tygrysy uświęcające

Kręta jest droga od beatyfikowania przez media do medialnej ekskomuniki.

Cztery i pół roku temu publikatory raczyły naród serialem o wiezionych z Włoch do Rosji tygrysach, które utknęły na przejściu granicznym z Białorusią. W finale epopei pojawiła się dyrektorka poznańskiego zoo Ewa Zgrabczyńska, która z narażeniem własnego życia zaopiekowała się zwierzętami. Telewizje okrzyknęły Zgrabczyńską bohaterką, a poznański zwierzyniec – najcudowniejszym ogrodem zoologicznym w Rzeczypospolitej.

Teraz święta Ewa od zwierząt – jak nazywają ją prozwierzątkowi radykałowie – znów jest na medialnej fali. Media prześcigają się w fotkach z jej zatrzymania i cytowaniu książki telefonicznej zarzutów, które stawia jej każda instytucja mająca coś wspólnego z zoo w Poznaniu.

Praworządność weterynaryjna

„Sprawy poznańskiego ogrodu zoologicznego powierzamy właściwej osobie. Odtąd o zoo w Poznaniu niech mówi się tylko dobrze” – rzekł wiceprezydent Poznania Arkadiusz Stasić, gdy w grudniu 2015 r. nominował Zgrabczyńską na stanowisko dyrektorki.

Po niecałym roku o Zgrabczyńskiej i ogrodzie zaczęto mówić niefajnie. Powiatowy lekarz weterynarii Ireneusz Sobiak miał obiekcyjne co do przyjęcia niedźwiedzi do azylu w Nowym Zoo, stworzenia azylu dla lisów odebranych z ferm futrzarskich i podarowanych przez stowarzyszenie Otwarte Klatki czy adopcji psów ze schroniska. „Pani dyrektor czy chce, czy też nie, musi mnie informować o nowo przyjętych zwierzętach do ogrodów zoologicznych. To powiatowy lekarz weterynarii ustala i wyznacza miejsce oraz warunki kwarantanny. A wynika to z przepisów unijnych, dyrektywy regulującej handel i przywóz zwierząt do Polski, których pani dyrektor nie chce przestrzegać” – mówił nader praworządny Sobiak w październiku 2016 r. Jego zarzut, że zoo staje się schroniskiem, trafił do lokalnych mediów i Tomasa Lewandowskiego, wiceprezydenta Poznania. Ten własną pierśią jął bronić Zgrabczyńskiej przed wścibskim urzędasem: „Powiatowy lekarz weterynarii nie jest osobą, która może wygłaszać sądy na temat tego, jak powinno funkcjonować poznańskie zoo, ani oceniać działania pani dyrektora Ewy Zgrabczyńskiej. Wyrazić może to organ prowadzący ogrody zoologiczne w Poznaniu, czyli ja, jako wiceprezydent miasta”...

W marcu 2017 r. zoo otworzyło azyl dla małych cyrków. Powiatowy weterynarz nie został o tym powiadomiony, więc poprosił dyrekcję placówki o garść informacji. Święta Ewa się wściekła. „Niech lepiej zajmie się pan fermami futrzarskimi” – odszczeknęła Sobiakowi w mediach. Dwa miesiące później na jego wniosek poznańskie zoo straciło status jednostki zatwierdzonej. Od tej pory, zgodnie z zapisami dyrektywy unijnej, zoo nie mogło brać udziału w wymianie zwierząt z innymi ogrodami zoologicznymi i instytucjami będącymi jednostkami zatwierdzonymi. W tym czasie w całej Polsce było 71 takich ośrodków.

Dwa tygodnie po zmianie statusu zwierzynca Ireneusz Sobiak przestał być powiatowym lekarzem weterynarii. Zgrabczyńska pokazała, że z nią się nie pogrywa.

Praworządność kadrowa

Pod koniec 2017 r. Urząd Miasta Poznania przeprowadził kontrolę ogrodu zoologicznego w zakresie gospodarki finansowej. Wyszedł brak zgodności zapisów umów, błędy i nieścisłości w ich zapisach, niedochowanie wymogów i staranności w sprawie ochrony i transportu pieniędzy na terenie zoo, a także brak odpowiedniego wykorzystywania wiedzy i doświadczenia pracowników. To tylko niektóre z wielu zarzutów sformułowanych pod adresem dyrektorki zoo w marcu 2018 r. Radny PO Tomasz Lipiński poinformował media, że „zarzuty wobec ogrodu zoologicznego nie są z gatunku tych najpoważniejszych”.

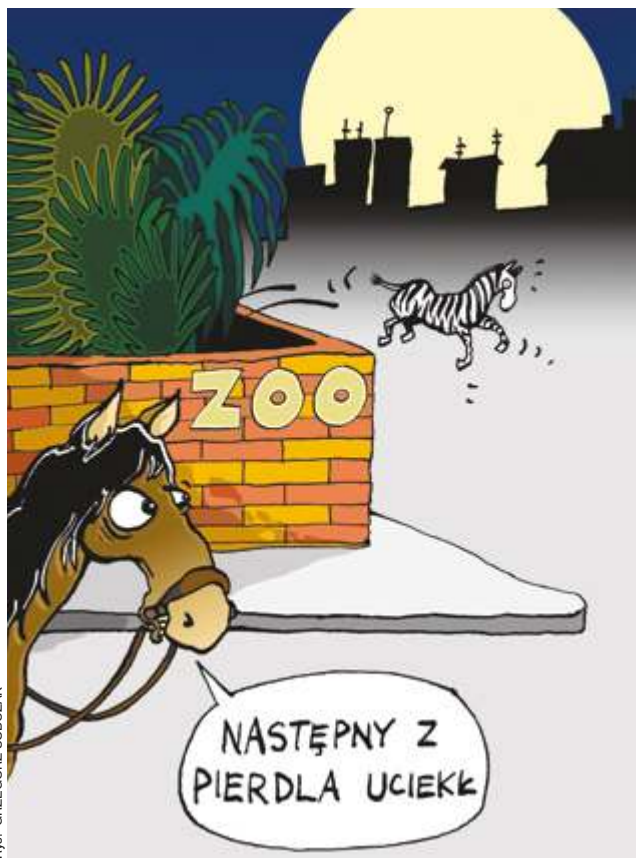
W maju 2018 r. lokalny portal grzmiał tytułem: „Dyrektor zoo w Poznaniu zwalnia ludzi niewygodnych? Ewa Zgrabczyńska lepsza dla zwierząt niż dla ludzi?”. W tekście było o tym, że w poznańskim zoo przez dwa lata rozstano się z 42 pracownikami; do sądu pracy wpłynęło 6 spraw. W następnych miesiącach kolejni wywaleni szli do sądu i wygrywali przywrócenie do pracy oraz kasę idącą w dziesiątki tysięcy złotych.

Przy tej okazji sytuacją w poznańskim zoo zainteresowała się Państwowa Inspekcja Pracy. Przeprowadzono kontrolę i w listopadzie 2017 r. skierowano do sądu wniosek o ukaranie dyrektorki ogrodu.

W normalnym świecie, kiedy szef jednostki podległej miastu robi takie numery, to leci z roboty. Ale nie Zgrabczyńska. Bo zdaniem Ziemowita Borowczaka, dyrektora Wydziału Gospodarki Komunalnej Urzędu Miasta, dyrektorka ogrodu zoologicznego miała prawo pozbyć się pracowników, „aby zapewnić rozwój i poprawę warunków utrzymania zwierząt”.

Praworządność urzędnicza

W czerwcu 2019 r. nad Zgrabczyńską przestało świecić słońce. Prezydent wystawił jej negatywną okresową ocenę pracowniczą. Władzom miasta nie podobało się, że „skała interwencji, które wpłynęły do magistratu i odnosiły się do działalności dyrektora ogrodu, była bardzo duża. Wzrosła też liczba konfliktów z udziałem organów weterynaryjnych i osób prywatnych.



Dodatkowo w wielu przypadkach nadużywane były w tym kontekście środki prawne. Zaś współpraca i kontakty z urzędem często odbiegały od powszechnie przyjętych standardów”.

Dyrektorkę wyciążnięto też bezprawne zwolnienia i jakieś dziwne umowy zawarte z weterynarzami z Niemiec, którzy na ich mocy mieli świadczyć swoje usługi w Polsce. Dołożono do tego nieuzasadnione przyjęcie przez poznański ogród „znacznej liczby zwierząt”. No i na domiar złego wspomniano, że kontrola Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska wykazała, że normy ministerialne dotyczące trzymania wybranych gatunków zwierząt nie były spełnione. Za każdą z powyższych wtop Zgrabczyńska dałaby dyscyplinarkę. Sama dostała tylko negatywną ocenę, a i od tego się odwołała, choć bezskutecznie.

Dyrektorka zaczęła się czuć niepewnie. Wiele wskazywało, że jej dni na stanowisku są policzone, a układy we władzach miasta przestają ją chronić. Szansa pojawiła się w październiku 2019 r., gdy telewizje rozpoczęły lament nad losem dziesięciu tygrysów z przejścia granicznego w Koroszczynie. Zgrabczyńska natychmiast rzuciła się na ratunek.

Praworządny immunitet medialny

Telewizje niemal na żywo pokazywały klatki i ratującą ich zawartość świętą Ewę. Dyrektorkę okrzyknięto bohaterką. Tygrysy tego tak pewnie nie odebrały, bo po kilku dniach znów wróciły do klatek i ruszyły do tygrysniego azylu w Hiszpanii. Ale o tym było jakby ciszej.

Pojawiły się za to zarzuty związane z kastracją uratowanych z prywatnej hodowli tygrysów. Zdaniem fachowców i prokuratury – niepotrzebna. Ale prokurator i naukowcy racji nie mieli, bo prawda telewizyjna leżała po stronie prozwierzątkowych aktywistów i uświęconej męczeństwem tygrysów Ewy.

We wrześniu 2020 r. „Dzień Dobry TVN” pokazało Polsce, jak żyje „dyrektorka zoo, która uratowała sławne tygrysy”. Widzowie mogli się dowiedzieć, „po kim odziedziczyła miłość do zwierząt, jak wygląda jej praca i ile ma w domu pupili”. W programie uczestniczyła Małgorzata Chodyła przedstawiona jako przyjaciółka boha-

terki. O tym, że przy okazji jest też rzeczniczką prasową zoo, czyli podwładną Zgrabczyńskiej, jakoś nie wspomniano.

Ustawiona medialnie w roli świętej Zgrabczyńska w styczniu 2021 r. na posiedzeniu Komisji Ochrony Środowiska i Gospodarki Komunalnej mogła się chępcie zwierzyć i dokonaniami. Nikt jej się nie czepiał, a o zarzutach prezydenckich dziwnie zapomniano. Wszak, jak tłumaczyła Magdalena Pietrusik-Adamska, dyrektor wydziału spraw społecznych poznańskiego ratusza, „prezydent postanowił otworzyć zoo na sprawy społeczne, a współpraca między jednostkami odbywa się bardzo dobrze”.

Kiedy szef warszawskiego zoo dr Andrzej Kruszewicz pozwolił sobie na stwierdzenie, że słynne tygrysy trzymane w Poznaniu w podmieszczeniach ze skleiki, ratowane przez świętą Ewę ptaki mają za małe klatki, a „puma na pewno nie powinna trafić do poznańskiego zoo, bo nie ma tam odpowiednich warunków do trzymania takich zwierząt” – Zgrabczyńska się nie zastanawiała. „Pan dyrektor przysporzy pracy prawnikom reprezentującym nasze zoo” – zagroziła.

W grudniu 2021 r. pisowska TVP poinformowała, że Zgrabczyńska przegrała w sądzie pracy proces z panem, który w zoo pracował 20 lat. Był członkiem związku zawodowego, co dawało mu ochronę. TVPiS pokazała też przewodniczącą Związku Zawodowego „Razem” Ewę Szulc mówiącą, że za Zgrabczyńskiej z zoo „z różnych powodów odeszło około 100 pracowników na 140 etatów. Za niezgodne z prawem zwolnienie zasądzone 1000 zł grzywny.

TVPiS nie omieszczała dodać, że rażące złamanie prawa pracowniczego nie jest przestępstwem, dlatego prezydent miasta nie musi jej odwoływać z funkcji. Przypomniano też, że Zgrabczyńska w sprawie karnej została skazana w 2017 r., gdy w mieszkaniu prowadziła hodowlę kotów. Ówczesny wiceprezydent Poznania Tomasz Lewandowski twierdził, że ten wyrok jest mało istotny, więc jej nie odwołał.

Skoło na dyrektorkę wsiadła reżimowa telewizja, to w oczach widzów TVN stała się ona nie tylko bohaterką, ale i męczenniczką.

Praworządność chorobliwa

Nietykność świętej Ewy od zwierząt skończyła się z początkiem marca. Ewa Z. została zatrzymana, a prokuratura postawiła jej zarzuty. Dotyczyła stworzenia w miejskim ogrodzie zoologicznym prywatnego folwarku. Wśród przewin dyrektorki śledczy wymieniają wystawianie fikcyjnych faktur, przywłaszczanie leków i karmy dla zwierząt, które przewoziła do swojej domowej hodowli, ucieczkę przed wierzycielami czy nakłanianie głównej księgowej do składania fałszywych zeznań. Miasto Poznań płacić miało za fikcyjną dostawę klatek do zoo, za fikcyjną naprawę nawierzchni i za szkolenie medyczne, którego nie było. Ewę Z. obciążają jej byli i obecni podwładni z zoo, a także dokumenty i podsłuchy. Od dwóch lat śledczy wzięli niezatapialną panią dyrektorkę na widelec i jęli kontrolować nawet jej rozmowy telefoniczne.

Teraz uświęcona obrończyni fauny jest chora, bo to chroni ją przed otrzymaniem wypowiedzenia – czegoś, co powinna zobaczyć już lata temu. Do zoo wejść nie może, bo ma zakaz wstępu.

Do czerpania korzyści majątkowych pod szyldem ratowania zwierząt oczywiście się nie przystaje. „Prokuratura zawiesiła mnie, bo jestem kobietą. Kobieta pyskata, która neguje zastaną rzeczywistość. Jestem niewygodna dla polityków w mieście, dla futrzarzy, dla myśliwych i wszystkich krzywdzących zwierzęta” – opowiada święta Ewa na konferencjach prasowych, na które przychodzi coraz mniej dziennikarzy, bo ich redakcje wola publikować ostre kawałki z materiałów śledztwa.

Najzabawniejsza jest jednak reakcja władz Poznania. Po zatrzymaniu Ewy Z. wydano oficjalny komunikat stwierdzający, że „miasto na bieżąco przekazywało prokuraturze wszystkie informacje i materiały potrzebne w postępowaniu”. I mimo tej wiedzy przez lata trzymane ją na eksponowanym stanowisku, pozwalając się okradać? A może bano się posądzenia przez TVN o kolaborację z PiS?

TOMASZ BOROWIECKI

Donald Tusk zakończył kampanię parlamentarną i rozpoczął samorządową w Moragu, małym mieście w województwie warmińsko-mazurskim.

– Chcę pokazać, że pokonamy PiS, że tamto zwycięstwo to nie przypadek – oznajmił.

Wybór Moraga nie jest najszcześniejszy. Najważniejszym miastem regionu jest Olsztyn. Kandydat PO może tu odpaść w pierwszej turze. Mieszkańcy są przekonani, że zasadniczy bój rozegra się między Grzegorzem Smolińskim, wystawionym przez PiS, i Czesławem Jerzym Małkowskim, reprezentującym samego siebie.

Kolega świętego

Rozpoznajecie Państwo to nazwisko? Tak, tak. Prezydent, który został 28 lutego 2008 r. wyprowadzony z ratusza w świetle kamer i oskarżony o zgwałcenie urzędniczki, będącej w ósmym miesiącu ciąży, a także molestowanie jej koleżanek, może być czarnym koniem tych wyścigów.

Małkowski został prezydentem Olsztyna w 2001 r. w barwach SLD. Od razu zaprzyjaźnił się z ołtarzem. Strony dobrze się znały, w czasach PRL Małkowski szefował miejscowej cenzurze, a wielu sukienkowych było uszakami SB. Kiedy miejscowy abepo pojechał do Watykanu żegnać wybierającego się w wieczną podróż JP2, towarzyszył mu Czesław. Przyszły święty lubił mazurskie zadupia, więc podziękował samorządowcowi workiem medalików.

W kolejnych wyborach Małkowski walczył pod własnym sztandarem. Wygrał w pierwszej turze. Jego komitet wprowadził 13 radnych – na 25 miejsc.

Afery

Olsztyn ma wprawę w zdejmowaniu ze sceny niewygodnych włodarzy. Wszystko w majestacie prawa, rękami prokuratury. Pamiętacie prezesa Zenona Procyka ze Spółdzielni Mieszkaniowej „Pojezierze”? Głównego bohatera największej afery w dziejach polskiej spółdzielczości? Skala nadużyć miała być taka, że odniósł się do niej

Naród polski uparł się wydać miliardy, aby godnie upamiętnić niemieckiego króla i rosyjskiego oligarchę?

„Nie może być tak, że z jednej strony Ołtarza Ojczyzny znajduje się hotel z kasynem, a z drugiej – biznesowe centrum. To jest uwłaczające, symbolicznie uwłaczające” – powiedział w styczniu Bartłomiej Sienkiewicz, mając na myśli Grób Nieznanego Żołnierza.

Fajnie, minister burzy wrzeszczący hotel Victoria i biurowiec Metropolitan – pomyśleli esteci. Niestety, kolejne zdania Sienkiewicza przekreśliły ich optymizm. Minister dodał bowiem, że „przestrzeń musi być zabudowana. Jestem przekonany o konieczności uleczenia tej rany i właściwej obudowy Ołtarza Ojczyzny i wydaje mi się, że to przekonanie nie jest moim indywidualnym, tylko przekonaniem większości Polaków”. Znaczący, że Sienkiewicz zdecydował, że odbuduje w środku Warszawy pomnik rosyjskiego imperializmu, nie wiedzieć dlaczego nazywany Pałacem Saskim.

Ostatnia pamiątka zburzonej stolicy

Dzisiejszy Grób Nieznanego Żołnierza jest w skali świata przecudownym ewenementem. Kawałek kolumnady pozostały po zburzonym przez hitlerowców pałacu i mieście ma w sobie zarówno symbolikę, jak i walory architektoniczne, które można podziwiać najbardziej, gdy za grobem rozkwita zielonością Ogród Saski. Stojące daleko po bokach koszmarki współczesnego budownictwa to jedynie niemądra wymówka Sienkiewicza.

Jeszcze głupszym wytłumaczeniem wydania 3 mld zł na odbudowę pałacu jest twierdzenie ministra kultury, że do takiej decyzji zobowiązuje go „ustawa o odbudowie Pałacu Saskiego, Pałacu Brühla oraz kamienic przy ulicy Królewskiej”. Ustawa jest pisowska, tak jak pisowskie były media publiczne, których pisowskość nie powstrzymała przecież Sienkiewicza przed decyzją o likwidacji.

Spółród badanych w grudniu 2023 r. Polaków 47 proc. jest za odbudową Pałacu Saskiego, a 17 proc. jest jej przeciwnych. Zbadano też, że odbudowę popiera co drugi warszawiak; przeciw jest 36 proc. To spory wzrost poparcia w stosunku do poprzednich badań – rok wcześniej na „tak” było 44 proc. Polaków i tylko 37 proc. mieszkańców stolicy. Warto jednak pamiętać, że do grudnia przemowny wpływ na Polaków miała pisowska TVP, w której odbudowę Pałacu Saskiego podciągano pod dobro najwyższe.

Zawiłe losy ulubieńca Olsztyna

Małkowski nie klęka

ówczesny premier Donald Tusk. Prezes miał kraść, fałszować dokumenty, zmuszać ludzi do fałszywych zeznań. Został aresztowany, miejsce złych ludzi jest w więzieniu.

W trakcie urzędowania Małkowski zniszczył kilka osób i rodzinnych biznesów. Rozmawiałam z tymi ludźmi. Utworzyli Stowarzyszenie Pokrzywdzonych przez Małkowskiego. Poprząsili zemstę. Co mogli zrobić włodarzowi? Nic. No, gdyby wpłatał się w aferę... Taką jak Procyk. Prokuratura, telewizja... Afera powinna być wielka. Czyny społecznie naganne... Wiadomo było, że Małkowski lubi spółniczki.

W 2008 r. Polska zamarła. Wyszło na jaw, że prezydent Olsztyna zgwałcił podwładną! Nie przeszkadzało mu, że jest w ósmym miesiącu ciąży. W chwili aresztowania kamery i dziennikarze okupowali olsztyński ratusz. Skąd wiedzieli, kiedy trzeba się stawić? Kto zatrąbił na zbiórke? Eee. Wiedzieli i już. No i dobrze, że wiedzieli. Dzięki temu wszystkie Polki i wszyscy Polacy mogli zobaczyć prezydenta na kajdankach.

Głównym dowodem w sprawie były ślady biologiczne oraz nagranie wykonane przez pokrzywdzoną. Przy takich dowodach akt oskarżenia pisze się w tydzień. W tym przypadku miesiące zamieniały się w lata. Małkowski mówił twardo: seks – tak, gwałt – nie, świadkowie opowiadali o miłości, biegli pletli o związku uczuciowym między stronami. I że ofiara prowokowała kochanka.

Skoro zgwałcenie tej akurat ciężarnej nie dawało gwarancji na wyrok skazujący, po trzech latach Prokuratura Okręgowa w Białymstoku rozszerzyła oskarżenie. Małkowski miał molestować inne pracownice.

To było śledztwo trałowe – mówią lokalni prawnicy.

Jak się szeroko zarzuci sieci w sprawie spółniczki, wypłynie coś ekstra. Ustawiony przetarg, łapowa, niegospodarność. W tym przypadku nie wypłynęło.

Pierwszy sąd, który badał sprawę, uznał, że Małkowski jest winny. Kolejne sądy były innego zdania. Ostatecznie Sąd Najwyższy oczyścił samorządowca z podejrzeń. „Analiza całokształtu materiału dowodowego bardzo szeroko i wnikliwie oceniono przez sąd I instancji, a także przez sąd II instancji [...] w wysokim stopniu uprawdopodobnia, że w tej sprawie inny wyrok zapaść nie może”.

Miliony

Jak wiadomo, Zenon Procyk też okazał się niewinny. W 2021 r. otrzymał odszkodowanie i zadośćuczynienie za 14 lat gehenny w wysokości 2 mln zł. Małkowskiemu zrekompensowano przykrości podobną kwotę.

Najważniejsze pytanie stawiane przez moich rozmówców to: jaka jest odpowiedzialność prokuratorów realizujących, świadomie bądź nieświadomie, interesy lokalnych sitw?

Włos

W 2008 r. Jerzy Czesław Małkowski został aresztowany pod zarzutem, który powinien wyeliminować go z życia publicznego. Tymczasem w 2010 r. wystartował w wyborach.

Cała Polska, nie tylko feministki, piętnowała Małkowskiego. Jak śmie pchać się na afisz? Wstydu nie ma. Ambicji. Honoru. Nie powinien wychodzić na ulicę! Nawet do spożywczego, bo ludzie brzydzą się jego facjatą!

W pierwszej turze uzyskał 38,66 proc. głosów. Był najlepszy, choć prokuratura straszyla, że kończy akt oskarżenia, więc opamiętajcie się, ludzie, lada moment Małkowski wylądować w kiciu!

Gdy ogłoszono wyniki pierwszej tury, dostało się mieszkańcom Olsztyna. Co to za miasto, które opowiada się po stronie kata? Co za ludzie tam mieszkają? Jak można nie mieć współczucia dla ofiary? Czy olsztynianie zupełnie nie wiedzą, co to przyzwoitość? Rozum im odebrało? Doprowadzą do tego, że prezydent po raz drugi

zostanie w kajdankach wyprowadzony z ratusza! Czy to leży w interesie pięknego grodu nad Łyną? Gwałciciel nie może być prezydentem! Jak Polska długa i szeroka, luminarze kultury, nauki i sportu podpisali listy sprzeciwu.

Małkowski przegrał. O włos. W drugiej turze dostał 46,76 proc. głosów.

Wybory w 2014 r. powinny być dla Małkowskiego katastrofą. Akt oskarżenia trafił do Sądu Rejonowego w Ostródzie, trwał proces. Cała Polska znów krzyczała: nie! Taki ktoś kandyduje?!

W pierwszej turze Małkowski zebrał 39,53 proc. głosów. W drugiej 49,53. Znowu przegrał o włos.

W 2018 r. sytuacja prawna Małkowskiego była najtrudniejsza. W 2015 r. został skazany przez Sąd Rejonowy w Ostródzie na pięć lat więzienia za gwałt i uśmierzanie gwałtu. W 2016 r. Sąd Okręgowy w Elblągu uchylił wyrok i skierował sprawę do ponownego procedowania. On na pewno będzie siedział – podkreślał chór feministek oraz obrońców Polski.

Wyborcy zachowali się tradycyjnie. Małkowski zebrał 3 proc. głosów mniej niż powszechnie szanowany Piotr Grzymowicz.

Kobiety

Kampanie Małkowskiego są identyczne: nie rusza palcem w bucie. Tylko zapowiada, że startuje on i jego drużyna. Pod szyldem domniemanego gwałciciela idą do urn szanowane olsztynianki. Dlaczego? Bo tak.

Komitet za każdym razem wprowadza do ratusza kilku radnych. Małkowski jest szeregowym rajcą. Fotel wiceprzewodniczącego rady, przysługujący komitetowi, zajmuje baba.

Olsztyn jest obwieszony podobiznami kandydatów na prezydenta. Start zapowiedziało dziewięć komitetów. Jedno nazwisko lepsze od drugiego. Jest były siatkarz reprezentacji Polski Marcin Możdżonek. Zarejestrowała komitet Lidia Staroń, która rok temu przepadła w wyborach do senatu...

BOŻENA DUNAT

Sienkiewicz pokrzepia zaborców

Gdyby Polacy mieli szansę zetknąć się nie z propagandą, ale z prostą kalkulacją mówiącą, że za planowane do wydania miliardy złotych można postawić setki złobków i przedszkoli albo tysiące mieszkań na tani wynajem – społeczna akceptacja odbudowy pałacu poleciałaby na zbity buźkę. A trzeba pamiętać, że na 2,5 mld zł rząd PiS szacował koszt odbudowy Pałacu Saskiego w 2021 r. Już wtedy eksperci od zabytków kazali liczyć to tak jak przekop Mierzei Wiślanej. Można zatem założyć, że na replikę nieładnego gmazyska budżet państwa przetrwoni co najmniej pięć dużych baniek. Przekopanie się tunelem przez góry, żeby podróż z Krakowa do Nowego Sącza zamiast trzech godzin trwała godzinę, to ledwie niecałe 2 mld zł.

Sienkiewicz jako człowiek inteligentny o tym wie. Dlaczego więc brnie w kosztowną bzdurę? Zwłaszcza że już pojawiły się pisowskie zarzuty, że jedynie zmiany, jakie zaszyły w spółce odbudowującej pałac, to wymiana pisowskich nominatów na Sienkiewiczowskich z ich nowymi koneksjami biznesowymi.

Saski plac Hitlera i Marszałka

Sienkiewicz głosi, że plac Piłsudskiego to „ostatnia wielka powojenna rana Warszawy. Blizna, którą trzeba zaleczyć”. Tylko po co? Historia tego fragmentu stolicy pokazuje, że żadna terapia nie ma sensu. Od 1814 do 1928 r. miejsce, gdzie dziś stoi Grób Nieznanego Żołnierza, nosiło nazwę plac Saski. Potem aż do 1940 był to plac Marszałka Józefa Piłsudskiego. Niemiecki okupant najpierw przemianował go na Sachsenplatz, a po trzech miesiącach poszedł na całość i nazwał go Adolf-Hitler-Platz. Po wojnie na chwilę wróciła nazwa plac Saski, by potem, do końca komuny nazywać miejsce składania wieńców i kwiatów placem Zwycięstwa. Jak komuna padła, na stanowisko patrona powrócił Piłsudski.

Dziś naprzeciwko grobu stoją „schody” smoleńskie i dwa pomniki figuratywne – jeden Marszałka, a drugi Lecha Kaczyńskiego. W XIX stuleciu, przez niemal pół wieku, zamiast nich stał tam pomnik Polaków poległych za wierność swojemu monarsze, upamiętniający siedmiu polskich oficerów, którzy ponieśli śmierć – a jakże – z rąk powstańców w noc listopadową. Potem na jego miejscu strzelono monumentalny sobór św. Aleksandra Newskie-

go wraz z 70-metrową dzwonnica. Sto lat temu jeszcze stał, bo naród zburzył go w 1926 r. Jak przyszli Niemcy, to w tym miejscu walnęli olbrzymie „V” mające uświetniać podboje Wehrmachtu.

Gdyby więc Sienkiewiczowi brakowało ran do zabliznienia, to wybór ma duży. Ale uparł się akurat przy Pałacu Saskim. Sek jednak w tym, że to, co chce wystawić, nie będzie miało nic wspólnego z rezydencją postawioną przez Króla Augusta II, czyli Sasa z niemieckiej dynastii Wettynów. Bryła budowli, w którą minister chce wpakować miliardy, powstała dopiero w połowie XIX w. na osobiste polecenie namiestnika Królestwa Polskiego generał-gubernatora Iwana Paskiewicza. Faceta, który zapisał się w historii utopieniem w polskiej i litewskiej krwi powstania listopadowego. Tenże Paskiewicz miał swojego oligarchę, który mógł w Kongresówce robić świetne interesy dzięki błogosławieństwu namiestnika. Oligarcha był kupcem, nazywał się Skwircow i jak dostał приказ, by zburzyć z pałacu, co się da, i postawić wielką budowlę z charakterystycznymi kolumnadami, którą chciał Paskiewicz – to najpierw Pałac Saski zburzył, a potem wybudował to, co teraz chce odtworzyć Sienkiewicz. I choćby dlatego odbudowany Pałac Saski nie będzie saski, tylko stanie się pomnikiem ku czci rosyjskiego imperializmu i ruskiej oligarchii.

Rewizjoniści

Stan budowy pałacu, który Sienkiewicz odziedziczył po PiS, to odkopane fundamenty. Stan jest więc dokładnie taki sam jak kilkanaście lat temu. Bo do odbudowy pałacu podchodzono w ostatnich dwóch dekadach już dwukrotnie.

W styczniu 2004 r. ogłoszono pierwszy przetarg na postawienie pałaców Saskiego i Brühla. Budowa miała zacząć się jesienią 2005 r. i trwać około trzech lat. Przetarg odwołano. W lipcu



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

2005 r. ogłoszono kolejny przetarg na projekt i budowę jedynie Pałacu Saskiego, a w 2006 ruszyły nawet prace przygotowawcze do rozpoczęcia inwestycji. Skończyło się w 2008 r., w czasie kryzysu, polubownym rozwiązaniem umowy pomiędzy miastem a generalnym wykonawcą robót budowlanych – Budimexem. Niedysiejczy minister kultury Bogdan Zdrojewski chciał, by budowa została wznowiona w 2012 r., ale prezydent Warszawy powiedziała, że nie da na to nawet złotówki, więc sprawa znowu zdechła. A odbudowa z lat 2004–2008 miała kosztować ledwie drobne 350 mln zł.

W tym czasie zinventaryzowano jednak piwnice pałacu i wszystko, co było do wykopania, wykopano, obdarowując znaleziskami kilka muzeów. Po czym stanowiska archeologiczne zasypiano i położono na tym płyty.

11 listopada 2018 r. w czasie obchodów 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości Andrzej Duda przypomniał sobie o Pałacu Saskim i obiecał Polakom, że pałac odbudujemy.

Morawiecki szczęśliwy z tego powodu nie był i odwlekał sprawę, jak mógł. Mógł zaś przez dwa i pół roku. W tym czasie PiS opowiadało, że w odbudowanych gmachach mają się mieścić instytucje publiczne. W Pałacu Brühla będzie senat przeniesiony z Wiejskiej, a w Pałacu Saskim też coś, choć jeszcze nie wiadomo co. Projekt nie był konsultowany nie tylko z mieszkańcami Warszawy, ale także ze środowiskami architektów, urbanistów czy ekspertów od konserwacji zabytków. Ci zaś zrównaliby tę koncepcję z ziemią, bo choć w Warszawie sytuacja lokalowa wielu instytucji państwowych wymagała poprawy, można to było rozwiązać, stawiając na kilkudziesięciokrotnie tańszą, ekologiczną i nowoczesną budowlę. Dodałoby przy okazji, że bez sensu jest rekonstrukcja monumentalnej i bardzo złej architektury.

W sejmie ustawa przeszła większością głosów. Nie tylko pisowską, choć poza Markiem Dudychem całą

Lewica była przeciw ustawie o odbudowie, podobnie jak KO. Adam Szłapka i Katarzyna Lubnauer wykrzykiwali mediom, że nie godzą „się na wyrzucanie publicznych pieniędzy w błoto na realizowanie fanaberii”.

Małgorzata Kidawa-Błońska nie dość, że zauważyła, iż „Pałac Saski nie jest elementem polskiego dziedzictwa historyczno-kulturowego”, to jako jedyna wykazała się znajomością historii, twierdząc, że został „wybudowany przez rosyjskich zaborców”. Sienkiewicz był za. Ba, uważał, że Koalicja Obywatelska odbuduje pałac lepiej od PiS.

Gdy umiłowaną przez prezydenta ustawę klepnięto, to Morawiecki czynił obstrukcję, wydając dyspozycje zamrażające inwestycję i nakazujące pozorowanie roboty, żeby nikt nie mówił, że PiS nie realizuje obietnic. To dlatego do końca rządów PiS na placu budowy zrobiono tylko powtórkę archeologicznych wykopków z czasów Gronkiewicz-Waltz. Nad nimi minister Sienkiewicz postawił zadanie. I może na tym odbudowa się skończy. Sienkiewicz jest ponoć na wylocie do Eurolamentu, a w koalicji nie słysząc o żadnym innym miłośniku pomników rosyjskiej monarchii.

TADEUSZ JASIŃSKI

Świat się buja wokół chuja

Centrum męskiego świata.

Nie jest przypadkiem, że wielu facetów jakoś pieszczotliwie nazywa swoje fiuty. Po prostu lubią być na ty z kimś, kto nimi kieruje... Ta stara prawda przypominała mi się, gdy z wielką ochotą czytałam rozmowę Przemysława Pilarskiego z seksuologiem Andrzejem Gryzewskim (drugą część wywiadu rzeki sprzed kilku lat) „Sztuka obsługi penisa”. Można tę pozycję podarować kolegom, bo znajduje się tam wiele konkretnych praktycznych porad, włącznie z instruktażem, jak zrobić i przesłać (oczywiście komuś, kto sobie tego życzy!) zdjęcie kutasa.

Największym plusem książki jest jej rzeczowość, pełne zrozumienia podejście do kwestii seksualności, nie tylko zresztą męskiej i nie tylko heteroseksualnej. Nie brak przy tym seksuologowi pewnego daru do – powiedzmy – trafnych uogólnień i spostrzeżeń, celnych i bez spiny, a chwilami bardzo dowcipnych.

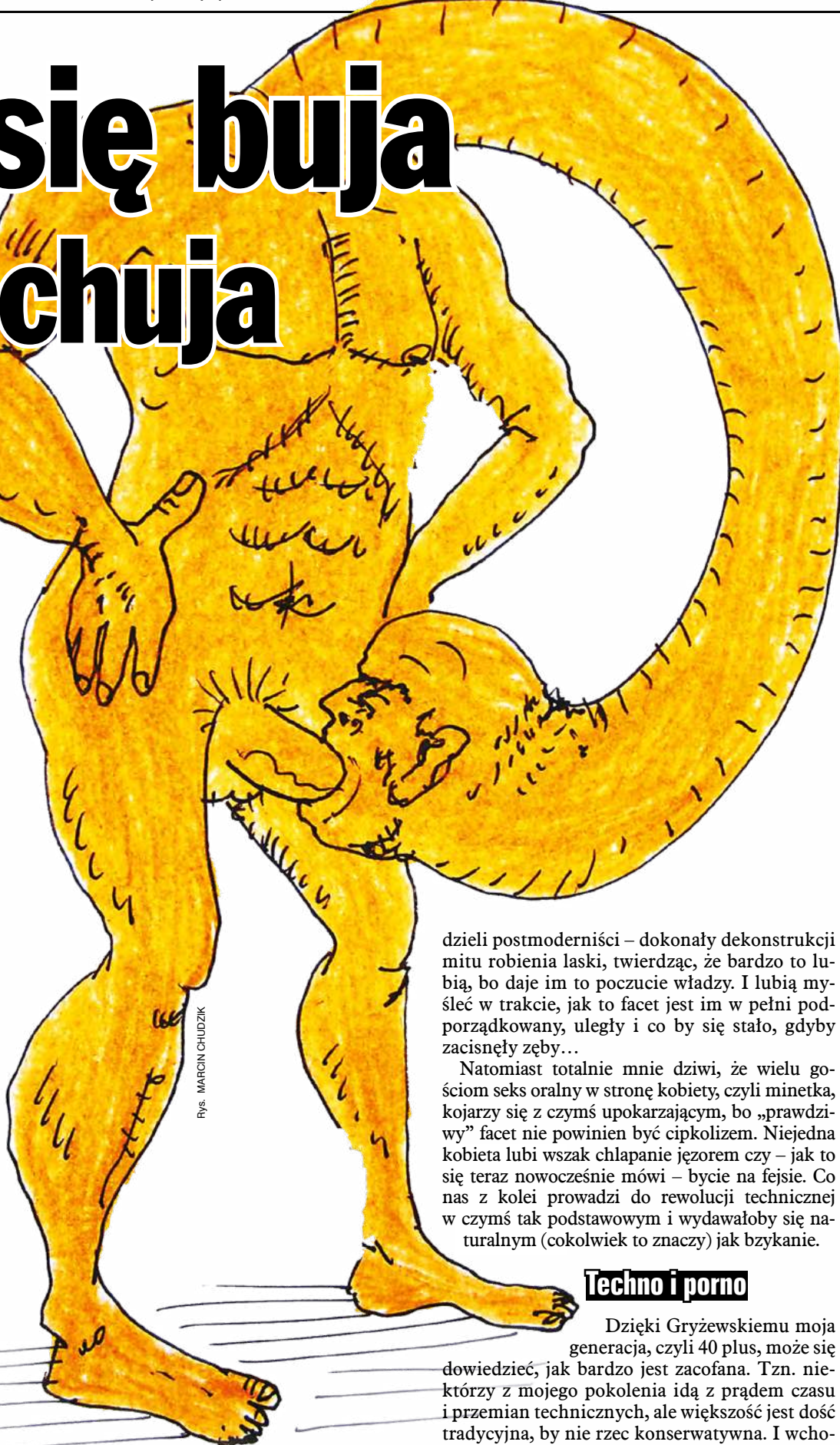
Penisocentryzm

W męskiej seksualności – mówi Gryzewski – fallus jest Słońcem, wokół którego orbitują planety i satelity. Nie jest to bynajmniej rzecz nowa, w europejskich zbiorach erotycznych muzeów, rzeźbach, rycinach, pieśniach, wierszach czy biżuterii uwiecznione są męskie członki. Ale nie, nie byle jakie penisy, tylko sterczące, w stanie erekcji, czyli podniecone.

Seksuolog zwraca uwagę na pewien istotny problem: „Faceci chcą kobiety albo innych facetów zaspokajając, zamiast wchodzić z nimi w seksualne relacje. Zaspokajając oczywiście peniszem. Nieustannie myślą o tym, czy byli wystarczająco „wydajni”, czy dobrze wywiązali się z zadania w łóżku. A przecież łóżko to nie fabryka ani konkurs. W centrum naszych myśli powinien być nie penis w erekcji, tylko to wszystko, co tę erekcję skutecznie zapewni”.

Co znamienne, do gabinetu trafiają liczne kobiety, które z niepokojem dostrzegają, że facetom przysłowiowa sroda (dzień łoda) kojarzy się nie tylko z celebracją przyrodzenia, lecz z dominacją, a nawet poniżeniem. Pokazywaniem, niekiedy dosłownym, kto jest wyżej, a kto niżej. I kto jest obsługiwany.

O ile trudno znaleźć coś szczególnie zdrożnego w samym akcie, nawet jeśli dla kogoś jest to hołdem dla kutasa oraz źródłem akceptacji i podniecenia (sfera seksualności w ogóle jest infantylna), to jednak słowa mają znaczenie. Więc kto „uwodzi” kobietę słowami: „Weź, zrób mi łoda” albo „Na kolana i do gały”, powinien popracować nad komunikacją w tej sferze. Jak mawiał mój znajomy: „Tak to nie poruchasz”. Wydaje się, że w dzisiejszym świecie sztuka uwodzenia, zwłaszcza w wydaniu heteroseksualnych mężczyzn, jest martwa i pogrzebana.



RYS. MARCIN CHUDZIK

Ciekawe, że zdając sobie sprawę z wagi, jaką do oralu przywiązują ich faceci, wiele kobiet traktuje to jako coś ekstra, jak w tym memie, w którym laska, nie wiedząc, jaki dać prezent na urodziny, daje bon na lodzika. Niekiedy zaś jest to przedmiot wymiany handlowej w zamian za to czy tamto i ta strategia negocjacyjna bywa piekielnie skuteczna. Niejedną osobę może wprawić w zdumienie, że nie brak heteroseksualnych mężczyzn, którzy – dla dobrze opierdolonej gały – decydują się na seksspokanania z innymi mężczyznami, nieraz przywołując w trakcie oglądane porno z kobietami seksmaszynami.

Inna rzecz, że można na gałę spojrzeć tak jak moje koleżanki ze studiów, które – jak by powie-

dzieli postmoderniści – dokonały dekonstrukcji mitu robienia laski, twierdząc, że bardzo to lubią, bo daje im to poczucie władzy. I lubią myśleć w trakcie, jak to facet jest im w pełni podporządkowany, uległy i co by się stało, gdyby zacisnęły zęby...

Natomiast totalnie mnie dziwi, że wielu gościom seks oralny w stronę kobiety, czyli minetka, kojarzy się z czymś upokarzającym, bo „prawdziwy” facet nie powinien być cipkolizem. Niejedna kobieta lubi wszak chlapanie jęzorem czy – jak to się teraz nowoczesnie mówi – bycie na fejsie. Co nas z kolei prowadzi do rewolucji technicznej w czymś tak podstawowym i wydawałoby się naturalnym (cokolwiek to znaczy) jak bzykanie.

Techno i porno

Dzięki Gryzewskiemu moja generacja, czyli 40 plus, może się dowiedzieć, jak bardzo jest zacofana. Tzn. niektórzy z mojego pokolenia idą z prądem czasu i przemian technicznych, ale większość jest dość tradycyjna, by nie rzec konserwatywna. I wchodzi na te wszystkie Pornhuby czy Zbiorniki, czasem robiąc sobie samym dobrze, a czasem traktuje to jako rozgrzewkę przed igraszkami, zresztą zwykle z mężem czy żoną. I są zadowoleni, bo tam mogą zobaczyć coś, co ich kręci. Więcej im do szczęścia nie potrzeba.

Ale pokolenie Zetek, które jest wychowane na Netfliksie, Instagramie, interaktywnej rozrywce i karmione personalizowaną reklamą, ma inną zajawkę. Młodzi uważają, że nie ma sensu oglądać czegoś, co jara te wszystkie Grażyny i Januszów, czy to z Podkarpacia, czy z Teksasu. Chcą czegoś wyjątkowego, szytego na miarę. I tu pojawia się nowy dynamicznie rozwijający się rynek – jedno z dobrodziejstw rozpasanego konsumpcjonizmu.

Jeśli ma się dość kasy, są pary specjalizujące się w nagrywaniu pornografii wedle scenariusza klienta. Jak ujął to jeden z klientów seksuologa: „Jak pan każe, tak ja łożę”.

No i można być, jeśli się chce, jedynym odbiorcą/odbiorczynią danej produkcji. Daje to poczucie siły i sprawczości. Podobnie rzecz ma się z kamerkami, gdy w trakcie płatnego pokazu można spełniać swoje najdziksze fantazje. Kiedy zaś – co jest kwestią najbliższej przyszłości – do kamerki będą na szeroką skalę podczepiane kostiumy sensoryczne, mało kto będzie wychodził z domu, by uprawiać seks w realu. To nadciąga wielkimi krokami, bo już dziś kobiety, które stosują tzw. pingwinka, czyli wibrator zasysający łechtaczke próżniowo, wolą to zmyślne urządzenie od zwykle dość przeciętnych w seksie mężczyzn.

W epoce, jak by powiedzieli aktywiści „Krytyki Politycznej”, grubancypantek (kobiet niewstydzących się swej nadwagi) kamerki są polem bitwy, czego dowodzi poniższy cytat ze „Sztuki obsługi penisa 2”: „Kat, jedna z bohaterów serialu »Euforia«, z powodzeniem eksponuje swoje oversize’owe ciało na kamerkach internetowych, przy okazji na rozmaite sposoby eksplorując własną seksualność. Ciekawe jest to, że w internetowym świecie BDSM dużą popularnością wśród mężczyzn uległych cieszą się dominy będące przy kości. Osoby, które udzielają się w tych serwisach, wykonują dużą robotę w dziedzinie ciałaopozytywności”.

Annę Lewandowską mogłoby ucieszyć, że dzięki kamerkom wiele osób, które tak zarabia na życie, z czasem zaczyna dbać o swoje ciało: forsownie ćwiczą, stosują zdrową dietę, bo uznają siebie za influencerów zobowiązanych do tego, aby traktować swój wygląd jako kapitał. Tyle się dziś mówi o „kapitale ludzkim” czy „kapitale kulturowym”, a rośnie nam pokolenie inwestujące w „kapitał cielesny”!

Co nas z kolei prowadzi do ostatniej kwestii, choć być może tak naprawdę nadrzędnej: rachunku zysków i strat, łącznie z finansowymi, ale i emocjonalnymi.

Porozmawiajmy o kosztach

Lekki ton wywiadu rzeki nie powinien nikogo zwodzić. Opowieści z gabinetu seksuologa, choć często podane w całkiem zabawny sposób, chwilami mogą mrozić krew w żyłach. I wcale nie robi mi się jakoś wesoło na duszy.

Bo co sądzić o majątnym starszym panu, który wyjeżdża do egzotycznych krajów, aby tam wybierać i przebierać w orientalnych kobietach i mężczyznach (a niekiedy, powiedzmy wprost, w dzieciach) i traktować ich jak rzeczy, zwykle zabawki w obłych rękach? A potem biegnie do wenerologa, bo wołał bez gumki.

Albo co sądzić o kimś, kto wydaje dużą część pensji na pokazy na kamerkach, a na dodatek podlega takiej alienacji, że to jedyna rzeczywistość, w której czuje się pewnie i bezpiecznie? Bo życie jest nieprzewidywalne, kruche, można stracić pracę czy się rozchorować. A tam, gdy zapłaci, jest zawsze mile widziany i wie, czego może się spodziewać. No i to bywa tak kuszące, że wciąga jak chodzenie po bagnie: są faceci, którzy tykają wiagrę, aby mieć maratony masturbacji podczas oglądania, gdy ktoś po drugiej stronie ekranu wsadza sobie czarny korek analny w tyłek.

Inna rzecz, że najciekawsze – przynajmniej dla mnie – byłoby poczytanie o sztuce obsługi penisa tych wszystkich, których nie stać na wizyty u Gryzewskiego. Ale jak wiadomo, kto nie ma miedzi, ten w domu na dupie siedzi i czyta o problemach klientów seksuologa jak opowieści z mchu i paproci...

KAT

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Naukowcy z uniwersytetów Warszawskiego i Gdańskiego przeanalizowali zawartość 165 wilczych odchodów zebranych w polskiej części Puszczy Rominckiej. „Boby stanowią aż 45,6 proc. biomasy zjadanego przez tutejsze wilki pokarmu” – powiedziała kierująca projektem badania wilczej kupy dr hab. Sabina Nowak, profesor UW i prezes Stowarzyszenia dla Natury „Wilk”. Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska wypłaciła w 2022 r. 34,8 mln zł odszkodowań za szkody wyrządzone przez bobry. Gdyby nie te wilki, to musiałaby zapłacić jakieś 52 mln – składowali naukowcy. Czyli że to dobrze, szanowny panie bobrze.

■ Do rodzinnej tragedii doszło przy ul. Aluzyjnej na warszawskiej Białolece. Żona

zaatakowała 38-letniego męża młotkiem, o czym poinformowała pogotowie ratunkowe 13-letnia córka małżonków. Tata jednak zmarł. W jego ciele stwierdzono trzy rany klute w okolicach klatki piersiowej oraz jedną w okolicy szyi. Jest to oczywiście dziwne, ponieważ po ciosach młotkiem powstają obrażenia o wyglądzie zadawanych tępym narzędziem. Więc zdaje nam się, że to może nie był młotek, ale na przykład pogrzebacz, co rzuca zupełnie inne światło na całe zdarzenie.

■ Samochód elektryczny wjechał do sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej numer 4 w Poznaniu, gdzie nie można wjeżdżać żadnym samochodom. Kierująca dostarczyła kolejnego argumentu przeciw elektromobilności, twierdząc, że pomyliła pedał przyspieszenia z hamulcem. W istocie w klasycznych samochodach z napędem spalinowym prawdopodobieństwo wystąpienia takiej pomyłki jest o 33 proc. mniejsze. Wynika to z faktu, że te wyposażone w manualne skrzynie biegów posiadają trzy pedały.

■ Nieznany obiekt latający spadł na pole w okolicach Miłakowa koło Ostródy w woj.

warmińsko-mazurskim. Początkowo utrzymywano, że był to wojskowy balon szpiegujący, a końcowo, że meteorologiczny balon obserwacyjny. Obecnie nie wyklucza się, że był to rosyjski balon szpiegujący udający balon meteorologiczny dla niepoznaki. O rosyjskości balonu ma świadczyć, że Miłakowo jest położone 100 km od Królewca, stolicy rosyjskiego obwodu królewieckiego. W celu uniknięcia dalszych niejasności balon badają specjaliści z wojskowej i cywilnej prokuratury.

■ Starosta powiatu łosickiego Janusz K. został skazany na grzywnę 3750 zł i na wijkę na rzecz Środowiskowego Domu Samopomocy w Nowych Litewnikach w wysokości 7000 zł za zniesławienie dziennikarki miejscowego „Słowa Podlasia”. Nazwał ją nierzetelną manipulanką, wymieniając przy okazji personalia. Przepięknie było raczej ewidentne, choć nieumyślne. Staroście pomyliły się dziennikarki. Chciał zniesławić jedną, a zniesławił zupełnie inną. Ale jak już błędnie zniesławił, nie chciał się wycofać. Zapewne największą uciążliwością będzie to, że już nie może kandydować na starostę. Z prą tak w ogóle to trzeba ostrożnie.

■ Sąd Okręgowy w Poznaniu, po odwołaniu złożonym przez prokuraturę od wyroku Sądu Rejonowego w Środzie Wielkopolskiej, umorzył postępowanie przeciwko oskarżonemu o uprawę czterech krzaków marihuany. Sędzia Jerzy Andrzejewski stwierdził, że wina oskarżonego i okoliczności popełnienia czynu nie budzą wątpliwości, ale czyn, którego się dopuścił, cechuje znikoma społeczna szkodliwość. Wyjaśnił jednak oskarżonemu Tomaszowi Wicijowskiemu, żeby swoje zamiłowanie do uprawy zieleniny skierował na sadownictwo lub warzywnictwo. Następnym razem sąd sam ze sobą może się w sprawie tej znikomej szkodliwości nie zgodzić.

■ Sztab Generalny Wojska Polskiego poinformował, że pies bojowy Eto, operator Jednostki Wojskowej Komandosów, został pierwszym podoficerem polskiej armii w stopniu plutonowego. Plutonowy Eto służy obecnie w Kontyngencie Wojskowym w Iraku pod kuratelą starszego kaprała. Zgodnie z militarną stratyfikacją może teraz wydawać swojemu opiekunowi rozkazy operacyjne i bojowe.

ZIELONY ŁAD



RYS. WIDGET

Ruszamy w bój o polszczyznę.

Wy, Miodek

Ludzi od zwierząt odróżnia język. Jeżeli ktoś coś mówi, na pewno jest człowiekiem. Jest to najlepsza definicja spośród innych bardziej problematycznych – mam na myśli tę o dwunożnej istocie nieopierzanej. Tę różniącą nas od zwierząt cechą można rozwinąć w twierdzenie, że spośród wszystkich ludzi ci mówiący po polsku stanowią istotną odrębność. Ludzka mała myśląca i mówiąca w języku kagulu (Tanzania) to zupełnie co innego niż mała posługująca się polszczyzną.

Inni niewinni

O ile możemy narzekać na innych, obcych, którzy wyrządzili nam przez setki lat wiele przykrości – o tyle za to, jakim językiem polskim się posługujemy, jesteśmy zupełnie odpowiedzialni my. Innowacje w tej sferze lub uwstecznienia są wyłącznie naszą zasługą lub efektem jałowości. Dlatego warto się przyjrzeć, czy obecnie trwa w polskiej mowie ewolucja, czy regres.

Ostatnio prof. Jan Miodek – człowiek zdawałoby się liberalny – wygłosił tyradę na temat słowa „zajębiście”. Cytuję: „Zajębiście? To słowo jest obrzydliwe i pochodzi od paskudnego czasownika na »jotk«. Dostaję gęsiej skórki. I już nawet nie o to chodzi, że mamy przyzwolenie społeczne na jego używanie i wszyscy wymawiają je z uśmiechem, jakby nie wiedzieli, od jakiego wyrazu pochodzi. To słowo jest tak obrzydliwe fonetycznie, że nawet jakby znaczyło »aksamitny«, tobym go nienawidził”.

Nie przypuszczałem, że prof. Miodek – już samo nazwisko świadczy o genetycznie przekazywanej łagodności – mógłby czegoś nienawidzić, a tym bardziej jakiegoś słowa. Żeby namawiać do jego dyskryminacji, bo pochodzi od czynności zwanej jebaniem, bez której profesora między nami by nie było?! Mówiąc kolokwialnie, ktoś kogoś musiał wyjechać, aby profesor via cipa pojawił się na tym świecie.

Sądząc po liczbie osobników w naszym kraju – jest ich wszak 38 mln, a pojawili się tu w rezultacie takiej samej sekwencji przyczynowo-skutkowej – jebanie musi być czynnością przyjemną i zacną. Bez niego naturalna reprodukcja rodzaju ludzkiego zwyczajnie by ustała. Co jest w tym obrzydliwego?

Nie wszystkie słowa są równe

Zgadzam się z profesorem, że bywają słowa zasadniczo gorsze od innych. Zdecydowanie nie lubimy słów, które

nie mają dla nas znaczenia. Jest ich zaś więcej niż wszystkich w języku polskim, bo na świecie rozpoznano 7 tys. języków. Liczbę niezycziwych dla Polaka słów na tej planecie oszacowałbym na jakieś 4–5 mln.

Nie da się polubić żadnego słowa w zdaniu: *Du hast Haare auf den Zähnen*, ponieważ żadne nie jest nasze, polskie, gatunkowe. Ba, nawet kiedy znamy znaczenie każdego ze słów, zdanie to wygląda obrzydliwie i budzi najgorsze skojarzenia. Dosłownie znaczy: „Ty masz włosy na zębach”. Trudno nam zrozumieć kontekst kulturowy, jaki stoi za tym dość powszechnie używanym przez Niemców idiomem. A w wyobrażeniu niemieckich małp, chodzących na co dzień w pikielhaubach, człowiek, który miałby włosy na zębach, wstydziłby się otwierać usta. Zatem ktoś, kto ma takie włosy, a jednak się odzywa, musi być bardzo odważny. Idiom ów oznacza, że jesteś wyszczekany, czyli nie wstydzisz się swojego zarostu na uezębieniu.

Nie sądzę, żebym tym wyjaśnieniem wzbudził czyjąś sympatię do języka niemieckiego, ale wynika z niego, że nie lubimy słów i sformułowań, które nie mają semantycznego sensu, brzmią obco, a ich etymologia jest nierozumiana.

Postęp wsteczny

Symptodem uwsteczniania polskiej mowy są coraz to nowsze feminatywy, mające rzekomo wpływać na równy status mężczyzny i kobiet, choć w gruncie rzeczy tak nie jest. Skoro „kierownik” w rozumieniu feministek ma wyższy status niż „kierowniczką”, dla wyrównania prestiżu „ministerkę” należałoby nazywać jednak „panią minister”. Pani poseł, pani sędzia, pani dyrektor – stawiają kobiety na równi z mężczyznami. Natomiast określenia „pilotka”, „marynarka” albo „kominiarka” w odniesieniu do kobiet uprawiających te zawody są w rzeczy samej sztydercze. Przyrównują osoby płci pięknej do czapek lub innych części garderoby.

Kolejną cechą współczesnej gadaniny Polaków jest powszechna banalizacja. Czytając niekiedy i z rzadka produkty internetowych dziennikarzy, uważam, że są one nudne. Nie chodzi tylko o banalizację treści, ale i formy.

Można odnieść wrażenie, że zasób słów przeciętnego Polaka z dziewięciu tysięcy przed 20 laty obniżył się do czterech. Ludzie patrząc w kółko i na okragło to samo bez większego namysłu. Kiedy po raz setny otrzymuję „życzenia zdrowia, szczęścia, wszelkiej pomyślności”, chwytam za

topór, aby zredukować populację obłudników, hipokrytów i maruderów.

Polszczyzna cudzołożna

Kolejnym pseudoudoskonalaniem polszczyzny jest czynienie z niej „lingua franca” – języka kurwieskiego. Pojęcie wzięło się od kobiet lekkich obyczajów, które świadcząc usługi w portach, posługują się zamorskimi zapożyczeniami w celu dogadania się z wielojęzyczną klientelą.

Polszczyzna przeżywała już kilka okresów kurwienia. Najpierw było to kurwienie łacińskie, kiedy ludzie uznający się za lepszych od pozostałych używali łaciny (wyraz ten właśnie z tego powodu nadal jest synonimem wulgaryzmów).

Polszczyzna kurwiona była przede wszystkim przez księży, którzy uznawali, że opowiadanie banialuków w nie-zrozumiałej dla młotłochu mowie czyni je mniej bałamutnymi.

Następnie polszczyzna kurwiła się z francuszczyzną, zwłaszcza w czasie przemarszu wojsk napoleońskich, idących na Rosję. Polskie żony, panny i kochanki poznały wówczas i przyjęły jak własne „gorsety”, „biżuterie”, „makijaże”, „balejaże”, „perfumy”, „baleriny”, „tiule” i „żorżety”. A nawet „żyrandole”.

Następnie mieliśmy, powiedzmy: wymuszone nieco sytuacją polityczną, skurwienie niemieckie i rosyjskie zwane rusyfikacją i germanizacją. Ów przymus w jakimś stopniu nas usprawiedliwia.

Obecnie polszczyzna kurwi się z angielszczyzną, podążając za światowym trendem, co jednak dobre nie jest. O skutkach dwójmyślenia przeczytacie sobie u Orwella, którego bohatera, ćwicząc w paranoi, w warunkach tortur uczono, że 2 + 2 = 5. Zanika-

dostarczającej gorącą wodę do mieszkań. Z sygnalnych fotografii wynika, że najlepiej ogrzane są w Rzeszowie ulice, pod którymi przebiegają rury ciepłownicze. Budynki zdają się nie emitować promieniowania podczerwonego w ogóle.

Policjanci z Międzychodu pod Poznaniem ujęli jeźdźcę, który galopował konno w stanie nietrzeźwym. Pomógł im nieszcześliwy wypadek. Kopyto trafiło w dziurę na ugorze. Koń się potknął. Jeździec runął na ziemię. Skutkowało to kolejnym nieszcześciem w postaci 3500 zł mandatu. Stężenie alkoholu we krwi człowieka wynosiło 1,5 promila. Trzeźwości konia nie zbadano.

Najpopularniejszym nazwiskiem w województwie łódzkim jest Nowak. Mieszkają tam 13 923 osoby noszące takie nazwisko. Podobnie jest zresztą w Mazowieckiem i Małopolskiem. Tak czy owak, zawsze Nowak.

RJ

PS Informacje pochodzą zasadniczo z prasy regionalnej, gdzie w zależności od regionu inaczej pojmuję się nieprawdę obiektywną. Należy traktować je z ostrożną powagą i nie generalizować.



ILUSTR. PAVEL FEREVC

ją księgowi, kierownicy, urzędnicy. Zastępują ich ekąci, menadżerowie i oficerowie, którym nowa tytułatura sama przez się nadaje wartość pozornie dodaną. Ma to swoją moc.

Zawsze kiedy mam się spotkać z kimś pokroju senior project manager, czuję się jak chłop w sądzie. Magia szybko znika, kiedy po kilku minutach rozmowy okazuje się, że mam do czynienia z neurotyczną gospodynią domową, kochającą płyny do mycia naczyń. Ona z tej miłości posługuje się bardzo wyrafinowanymi technikami wizualnymi, aby ludzie oglądający produkty chemii gospodarczej w telewizji mieli wrażenie, że naprawdę działają. Nic szczególnego. Zwykła kierowniczką działu sprzedaży ludwika produkowanego od 60 lat w chrześcijańskiej spółdzielni pracy Inco Veritas.

Generalnie jest źle, że podatek dochodowy, który mogłoby się nazywać podatkiem dochodowym, nazywa się Personal Incom Taxem (PIT). A ów od wartości dodanej to VAT, a nie po prostu podatek od wartości dodanej.

Źródła tego angielskiego szlitu znajdują się wszędzie tam, gdzie jest korporacyjna księgowość i informatyka, które na zasadach outsourcingu, będącego współczesną odmianą kolonializmu i niewolnictwa, tyrają ku chwale i pomyślności swoich panów, którzy słowa po polsku nie powiedzą. Polecenia wydają za pomocą SMS-ów, siedząc nad basenem w willi na Ibizie z kieliszkiem martini z kostką lodu, oliwką i parasolką. Zangielszczanie języka polskiego to dobrowolne wyrzeczenie się wolności na obstalunek białych protestantów, w których języku i pomyślunku Słowianin oznacza zwyczajnie niewolnika.

Eureka

Aby nie było, że tylko ubolewam nad postępującym upadkiem obyczajów językowych i głupotą młodszych pokoleń – co wydaje się symptomatyczne dla ludzi w moim wieku wszelkich generacji – mam pomysł na uwzniośnienie stosunków międzyludzkich. Nie jest on dokładnie mój, ale był dobry, choć z przyczyn ideologicznych zarzucony.

Zasadniczym problemem codziennych interakcji jest ich zbyt wielka dosadność, jednostronność i przesada. Zwłaszcza między ludźmi pozostającymi w jakiejś zażyłości służbowej lub podległości społecznej.

Nawet więcej, na ogół nie zaczepiamy ludzi obcych w autobusie, aby podzielić się z nimi opiniami o ich dostojnym wyglądzie, ekskluzywnych manierach lub przymiotach umysłu. W przestrzeni publicznej otwieramy usta, aby wyrazić swoje nieukontentowanie: „Ty chuju! Posuń swoją śmierdzącą dupę, bo tarasujesz drzwi! Nikt nie może wejść”.

Z natury własnej polskiej chcemy przydać sobie znaczenia, używając słów jak najbardziej nieestosownych („idiota, kretyn, stado debili”). Jednocześnie uzyskujemy efekt odwrotny od spodziewanego. Bestialsko łajany raczej wolałby zabić za utratę honoru niż zastosować się do woli mającego pretensje i uwagi.

Nowoczesna psychologia znalazła rozwiązanie tego problemu. Polega ono na komunikowaniu swoich obiekty nie wprost. Jest to zasadniczo jednak trudne. Wymaga niejakej pomyślności i wyzbycia się nawyków.

Można by rzec: „Jest pan durniem”. Ale lepiej jest to wyrazić eufemistycznie: „Ostatnio rozmawiałem z kimś podobnym do pana, który wyzwiał mnie na intelektualny pojedynek, ale po krótkiej wymianie ciosów okazało się, że jest zupełnie nieuzbrojony”. Tylko to trzeba być artystą, a artystami z reguły nie bywamy.

Ty, czyli wy

Prostszym i łatwiejszym rozwiązaniem byłoby zwracać się do podwładnych i przełożonych, studentów i wykładowców w drugiej osobie liczby mnogiej, a nie – jak to naturalnie czynimy – w drugiej osobie liczby pojedynczej.

„Wy, Nowakowski, jesteście ćwoki i robicie swoją robotę jak nogami”. Na co Nowakowski odpowiada: „Wy, dyrektorze, byłibyście dobrymi ludźmi, gdybyście nie myli dupy, krocza i sztucznej szczęki tą samą szczoteczką do zębów”.

Proszę zwrócić uwagę! W tej wymianie opinii strony dają do zrozumienia, że nie są one bezpośrednio adresowane do odbiorcy. Żadna bowiem nie myśli o sobie „my”. O sobie myślimy „ja”. Więc jeżeli pod swoim adresem otrzymuję komunikat „wy”, odnoszę wrażenie, że nie jest on adresowany do mnie. Jego wulgarna treść zostaje w świadomości odbierającego niejako rozmyta na niego i jeszcze kogoś innego.

Niestety prawdą jest, że to pomysł z kręgów dawnych partii kominter-nowskich, których członkowie jednostkę utożsamiali z jakąś społecznością. Rozpoczynali swoje enuncjacje od „wy, towarzyszu”, „wy, kolego” lub „wy, obywatelu”. Tyle że trzeba się zastanowić, czy nie była to forma właściwsza.

Realny komunizm nie mógł mieć samych wad – bo jest to statystycznie niemożliwe. Forma „wy” zamiast „ty” w międzyludzkiej komunikacji wydaje się rzeczywistym jego osiągnięciem. Możecie sami spróbować. Nikt wam nie zabroni. To naprawdę dobrze działa.

ROBERT JARUGA

robert.jaruga@doborowa.com.pl

Piotr Duda jest niczym Twardowski. Niby przestrasza i tumani, ale tak naprawdę śmieszy.

Twardyszon

Ile osób wie, że cztery dni po październikowych wyborach Piotr Duda kolejny raz został ogłoszony przewodniczącym NSZZ „Solidarność”? Nikt? To może komuś uda się odpowiedzieć na pytanie, jak to się dzieje, że Piotr Duda siedzi na tym stołku od prawie 14 lat.

Po związkowemu

Widać dobrze mu z tym. Robota nieszczerólnie absorbująca, a kasa płynie. Prócz apanaży za przewodniczenie związkowi dochodzą przecież inne fuchy. O jednej z nich można się było dowiedzieć kilka lat temu, gdy szef Solidarności zawiesił udział związku w pracach Rady Dialogu Społecznego. Finansowe mleko rozlało się po jakimś czasie, gdy zaczęli się czepiać dialogujący pracodawcy. Wyjaśnili, że Duda, mimo nieuczestniczenia, za bycie wiceprzewodniczącym rady pobierał blisko 4 tys. zł miesięcznie. Jak na czas przedinflacyjny pieniądze całkiem, całkiem...

Dodajmy do tego, że członkowie najwyższych władz Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” są z automatu przydzieleni do zasiadania w zarządzie bądź radzie nadzorczej którejś z setek spółek należących do Solidarności. Taki mechanizm finansowania powoduje, że związkowcy wybrani do władz Solidarności stają się niezależni finansowo. Również od wpływów ze składek członkowskich.

A skoro tak, to w ostatnich latach, gdy rządziło zaprzyjaźnione z Solidarnością PiS, związkowcy nie musieli pchać się na afisz. To dlatego rozpoznawalność szefa Solidarności w społeczeństwie jest dziś żałosna. Młodszemu pokoleniu nazwisko Piotra Dudy nic nie mówi. Gdy więc ostatnio Piotr Duda przemówił, w internetowych wyszukiwarkach zaroilo się od pytań, kto to jest.

Przemówił zaś, bo z letargu obudzili go szefowie czegoś, czego tym bardziej nikt w Polsce nie zna, a co nazywa się NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność”.

Rolnicza Solidarność w trwających protestach stanowi zupełny margines i żeby to zmienić, jej szefostwo pobiegło do Dudy.

Ten zaś mógł zrobić gniewną twarz i powiedzieć do kamer: „W sposób czynny, na twardo – jak to się mawia po związkowemu – wchodzimy w te protesty”. Żeby przekazać wzmocnić, Duda powiedział jeszcze, że już wiele lat temu zwracał uwagę rządzącym, że uniijny pakiet klimatyczny będzie oznaczał katastrofę dla wielu branż. I wcale nie kłamał. Od początku przewodzenia związkowi dmuchał i chuchał na górnictwo węglowe. Branżę, która daje związkowi mnóstwo członków, a co za tym idzie – pieniędzy. A ponieważ polityka ekologiczna Unii zakłada wygaszanie węgla i innych węglowodorów, Duda konsekwentnie mówił „nie” zamykaniu kopalni za ćwierć wieku.

Trzeba mu przyznać, że wraz z górnika mi był skuteczny. Przyblokowanie na kilka lat energetyki wiatrowej pozwoliło kopalniom wydobyć, a elektrowniom spalić wiele milionów ton urobku.

Nie jest też udawane zaangażowanie Dudy w związkowy sojusz robotniczo-chłopski. Wszak równo dziewięć lat temu – też za współrządów PO – mówił: „Solidarność popiera każdą formę protestu, jeśli jest ona słuszna. Rolnicy nie mają innego wyj-

ścia, bo, przepraszam, mają protestować na polu? Jak mają zaprotestować swoje problemy?”. Bo dziewięć lat temu niezadowoleni rolnicy też się burzyli. Choć ich najważniejszym postulatem była wówczas wypłata odszkodowań za straty spowodowane przez dziki oraz wypłata rekompensaty za straty poniesione w chowie trzody chlewnej i bydła.

Tuż przed wyborami 2015 r. przewodniczący Duda jeszcze mocniej stanął po stronie producentów rolnych. Wystąpił do prokuratora okręgowego w Szczecinie z poręczeniem za 11 rolników z Pyrzyc, którzy siedzieli pod zarzutem udziału w zorganizowanej grupie przestępczej wymuszającej ustanowienie przetargów, na czym miał tracić i skarb państwa, i rolnicy niezaprzyjani z grupą. Rolnicy spod Pyrzyc pełnili wtedy w pisowskich mediach rolę, które dziś przynależą Kamińskiemu i Wąsikowi – męczenników peowskiego aparatu ucisku.

Niedziela sukcesu

W 2015 r. PiS wygrało wybory. Piotr Duda został okrzyknięty jednym z ojców tej wiktoria. Dla NSZZ zaczęło się ośmioletnie pasmo dwóch niekończących się sukcesów.



W pierwszym chodziło o pracowników handlu, którzy pracowali w niedzielę. Zamiast jednak zrobić coś, co dla związku zawodowego byłoby naturalne, czyli spowodować, że niedzielnia praca byłaby dla sprzedawców dwuipółkrotnie opłacalniejsza niż harowa od poniedziałku do piątku, Solidarność pracę w niedzielę ekspedientom skasowała. Wraz z zarobkami, które ludzie za robotę w dzień święty otrzymywali.

To bodaj jedyny na świecie przypadek, gdy związek za sukces poczytywał sobie zmniejszenie zarobków swoich członków.

W pierwszych latach rządów dobrej zmiany w relacjach pracodawcy–pracownicy się działo. W fabrykach Opla związkowcy z sierpnia ’80 protestowali, bo wszystko – ich zdaniem – wskazywało na to, że koncern powoli wygaszał produkcję w Polsce. Centrala Solidarności tego nie dostrzegła.

nauczając religii. Dla wielu z nas jest to jedyne źródło utrzymania” – napisali w oficjalnym liście. Resort Nowackiej podjął także prace nad zmianami w zakresie zniesienia wliczania do średniej ocen oceny z religii i etyki, co wywołało kolejną kaskadę grymasów. Katecheci wskazują, że zniesienie oceniania na lekcji religii będzie krzywdzące dla uczniów, i zaapelowali do Nowackiej o bezstronność światopoglądową. Podbijamy stawkę i apelujemy do pani minister o całkowitą rezygnację z finansowania przez budżet państwa szkolnej katechezy.

✦ Ksiądz Daniel Galus, eksduchowny z zakazem sprawowania obrzędów i noszenia szat liturgicznych, ogłosił, że on i jego wspólnota Miłość i Miłosierdzie Jezusa – nie uznawana przez biskupią za katolicką – zostali okradzeni z nieruchomości, samochodów i pieniędzy, w sumie na co najmniej 4,5 mln zł. Sprawą zajmuje się Prokuratura Okręgowa w Częstochowie. Od 2022 r. Galus i jego święta, wbrew rozporządzeniu metropolity częstochowskiego abp. Wacława Depo, okupują Pustelnię Ducha Świętego w Czatachowie. Przy wspólnocie w czasach, kiedy Galus był jeszcze na legalu, zawiązała się świecka Fundacja Anioł Miłosierdzia, która miała wspierać działania wspólnot katolickich oraz pomagać ludziom samotnym i chorym. Fundacja organizowała Galusowi spotkania ewangelizacyjne w Częstochowie, a w ramach działalności gospodarczej prowadziła sprzedaż wydawnictw i precjozów; rozpoczęła też budowę domu rekolekcyjnego w Czatachowie. To Dom Maryi, o który trwa spór. Romans fun-

Potem w PLL LOT zrobiono referendum strajkowe. Załoga była za. Protest organizowały dwa związki: ZZ Personelu Pokładowego i Lotniczego oraz ZZ Pilotów Komunikacyjnych w PLL LOT. Strajk miał załatwić pracownikom sprawę regulaminów płac i sposobu wynagradzania. I skończyć z zatrudnianiem pilotów tudzież stewardes jako osób prowadzących na pokładach lotowskich samolotów indywidualną działalność gospodarczą. Pod stosowną uchwałą podpisało się sześć organizacji związkowych działających w firmie. Solidarność też. Gdy jednak protest przyjął formę strajku włoskiego, to do przeprowadzającego go komitetu strajkowego Solidarności się nie zapisała.

Rozmowy między związkami zawodowymi pielęgniarów, położnych, techników i pozostałych grup zawodowych zatrudnionych w szpitalu w Ostrowcu Świętokrzyskim trwały wiele tygodni, bo szło o podwyżki płac. W ostatnim przedstrajkowym akcie desperacji protestujący wystosowali do miejscowych władz zaproszenie na negocjacje. Zaproszono zatem: prezydenta miasta, starostę, przewodniczącą Rady Powiatu i uznanego za część aparatu władzy przewodniczącą Solidarności w Hucie Ostrowiec.

„Żałuję, że podpisałem z rządem porozumienie” – płakał w mediach wiceszef Porozumienia Rezydentów, które trzeba było powołać, bo żadna z organizacji pracowniczych nie chciała występować w obronie młodych lekarzy. Sekcja Ochrony Zdrowia NSZZ „Solidarność” również.



O żadnym z tych protestów nie zająknął się Piotr Duda. Nic więc dziwnego, że protestujący – tak jak w Ostrowcu – uznali Solidarność za integralną część władzy.

Niezależne od Komisji Krajowej

W wywiadach udzielanych w latach rządów PiS Piotr Duda nie wspominał ani słowem o tym, że członkowie jego związku w walce o wyższe zarobki jednak biorą udział. W Operze Narodowej w Warszawie zakładowa Solidarność wspierała żądania pracowników technicznych domagających się 800 zł podwyżki.

„Od lat nasze wynagrodzenia są, mówiąc kolokwialnie, pod psem. Traktowani jesteśmy jak zło konieczne, jak balast” – mówiła mediom w czasie protestacyjnej pikiet Agnieszka Morawska z Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

W 2018 r. działacze Międzyzakładowej Organizacji Związkowej NSZZ „Solidarność” Muzeum Województwa Śląskiego zbuntowali się przeciw centrali i stanęli na czele sporu zbiorowego. Walczyli o 800 zł podwyżki brutto dla ludzi, z których połowa nie zarabia miesięcznie nawet 2 tys. zł na rękę.

W belchatowskim oddziale austriackiej firmy Sempetrans zatrudnionych było około 600 osób. Gdy zrzeszeni w Ogólnopolskim Porozumieniu Związków Zawodowych (OPZZ) zaczęli przebąkiwać o strajku w związku z niesatysfakcjonującymi pracowników podwyżkami, zakładowej Solidarności zrobiło się głupio i dołączyła do protestu.

Piotr Duda nie był w żadnej z firm, gdzie protestował jego związek.

Ale za to przewodniczący NSZZ „Solidarność” spotkał się w tym czasie w sejmie z opiekunami niepełnosprawnych dorosłych. Rozmowa odbyła się bez udziału mediów. „Było miło” – mówili po rozmowie rodzice. O konkretnych nikt się nie zająknął.

Stażysta emerytalny

Przyszła covid i porobiło się tak, że ile razy związki coś sygnalizowały, to rząd dawał kasę, i to nawet większą. Tak było z dodatkiem covidowym w służbie zdrowia, tak było i w przypadku budżetu, gdzie zarówno Solidarność, jak i inne związki mogły tylko skonstatować, iż „wzrost płacy minimalnej do poziomu 2800 zł oraz stawki godzinowej w umowach-zleceniach do poziomu 18,30 realizuje oczekiwania związku. Pozytywnie oceniono również większe środki finansowe na zadania z zakresu...” i tak dalej, i tak dalej. Zupełnie jakby to związki zawodowe rządziły.

Przyszła więc czas na drugi sukces związkowy Piotra Dudy. W grudniu 2021 r. w piśmowskim sejmie przeprowadzono pierwsze czytanie przygotowanego przez Solidarność projektu obywatelskiego w sprawie emerytur stażowych, pod którym zebrano 235 tys. podpisów.

Propozycja związkowców przewidywała, że prawo do świadczenia miałyby osoby, które osiągnęły okres składkowy i nieskładkowy wynoszący 35 lat dla kobiet i 40 dla mężczyzn. Emerytura stażowa nie mogłaby być niższa od minimalnej emerytury, a emeryt stażowy mógłby kontynuować pracę.

Projekt zdechł na półtora roku, by wypłynąć na starcie kampanii przed zeszłorocznymi wyborami.

Pod koniec czerwca zawiły fanfary i w Hucie Stalowa Wola doszło do podpisania porozumienia rząd–Solidarność. „Historycznego porozumienia” – jak to ujął Duda.

Poza emeryturami stażowymi rząd zgodził się też na wprowadzenie zmian do Kodeksu postępowania cywilnego, zgodnie z którymi działaczom związkowym przysługiwać miała ochrona. Jako deser do ochrony działaczy dołożono do porozumienia finansowe dodatki wynagrodzenia pracowników domów pomocy społecznej i jednorazowe 900 zł nagrody specjalnej dla nauczycieli.

Jak twierdzą wtajemniczeni, te dwie ostatnie pozycje nie były postulatem Solidarności, ale pomysłem przedwyborczym rządu. Morawiecki wsadził je do porozumienia, żeby wyglądało ono poważnie.

O ile detale zostały zrealizowane, o tyle emerytury stażowe – czyli główny postulat Solidarności – nie. PiS, jak wiadomo, potrafił tak procedować, by dowolną ustawę mieć po miesiącu. Skoro emerytur stażowych nie klepnął przez trzy miesiące, to znaczy, że miał je dokładnie tam, gdzie przewodniczącego Duda.

Kaczyński i Morawiecki wiedzieli, że Piotr Duda jest ich marionetką, bo i on, i Solidarność nie mają wyjścia i będą służyli PiS zawsze i wszędzie. Przy okazji rośmieszając naród opowieściami o twardości.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Suspendowany ksiądz Piotr Natanek z Grzechyni (pow. suski), skazany za wygłaszane publicznie koczopy o dzieciach poczętych metodą in vitro, postanowił odwołać się od wyroku. W październiku 2023 r. Piotr Natanek usłyszał wyrok w procesie o znieważenie rodzin korzystających z metody in vitro. Prywatny akt oskarżenia w sprawie złożyli rodzice trojga dzieci, które przyszły na świat dzięki tej metodzie. Sprawa trwała od kwietnia 2022 r., gdy Natanek podczas kazania wielkanocnego transmitowanego w serwisie YouTube stwierdził, że „dziecko poczęte z próbki, poza Bogiem, jest produktem, a nie bytem”. Sąd pierwszej instancji uznał winę klechy i skazał go na 10 miesięcy ograniczenia wolności, prace społeczne, wpłatę 20 tys. zł na rzecz organizacji wspierającej leczenie niepłodności. Nakazał również oskarżonemu zwrot kosztów procesowych w wysokości 3,9 tys. zł. Rozprawę zaplanowano na 11 marca.

✦ Informacja o tym, że ministra edukacji Barbara Nowacka chce zmniejszyć liczbę godzin religii w szkole, przyprawiła o mocniejsze bicie serca i jęk portfelu katechetów z diecezji kaliskiej. „Pracujemy od lat w polskiej szkole,

dając i ks. Galusa zakończył się w 2020 r., kiedy duchowny zaczął publicznie kpić z pandemii koronawirusa i polecał wiernym odkazywanie wodą święconą. Teraz samowznajczy duchowny zgłasza roszczenia wobec nieruchomości Maryi i reszty majątku fundacji. Sprawa jest w toku.

✦ Papież Franciszek wydalil ze stanu duchownego proboszcza Leszka S., który odbywa karę pozbawienia wolności m.in. za przestępstwa seksualne wobec małoletnich w parafiach w Głuszyca i Boguszowie-Gorach. W 2019 r. do świdnickiej kurii biskupiej zgłosiły się byłe parafianki księdza, które opowiadały o swoich dziecięcych doświadczeniach z duszpasterzem. Leszek S. miał zmuszać dziewczynki do odbywania stosunków oralnych, dotykał części intymnych ich ciał, kazać całować swojego penisa. Ofiary pedofila miały po 10 i 11 lat, a czyny, których dopuszczał się duchowny, trwały latami. Mężczyzna okradł też parafię na kilkaset tysięcy złotych. Prokuraturę o możliwości popełnienia przestępstwa przez ks. Leszka S. powiadomiła diecezja świdnicka. Oskarżony został zatrzymany w domu księży emerytów w 2019 r. 22 marca 2020 r. został skazany na 15 lat pozbawienia wolności. Wyrok został podtrzymany w Sądzie Apelacyjnym we Wrocławiu.

✦ Ksiądz Daniel Wachowiak w wywiadzie udzielonym TV Media Narodowe postanowił podzielić się przemyśleniami

mi na temat obecności księży w polityce. „To jest nasz obowiązek, żebyśmy bronili wartości, choćby w narodzie, a w przypadku naszej ojczyzny bronili wartości, kiedy one są naruszane wobec Polski” – stwierdził duchowny. Mając na uwadze sądowe skutki duszpasterskiej działalności obronnej, optujemy za hasłem „Księża na Księżyc”.



Pranie sportem

Jeśli masz pieniądze, możesz kupić złotą bilę.

Ociekające bogactwem kraje arabskie oskarżane są o *sportswashing*, co w wolnym tłumaczeniu oznacza „sportowe pranie”. Takim terminem określana jest praktyka rządów, narodów, korporacji, a nawet jednostek zmierzająca do poprawy swojej nadszarpniętej reputacji przy pomocy sportu.

Sięgać można po różne sposoby: organizację prestiżowych imprez, kupowanie klubów, uczestnictwo z sukcesami w zawodach dzięki łożeniu wielkich pieniędzy na sport. Nie da się ukryć, że kraje arabskie są obecnie pod tym względem w światowej czołówce. Nie wiem tylko, czy akurat mamy prawo czynić im z tego powodu zarzuty. Ze sportswashingiem mamy do czynienia jak świat długi i szeroki, chętnie i my, w Polsce, byśmy się nim posługiwali, gdybyśmy mieli na to szmal i fachowców potrafiących go wykorzystać.

Po rusku, po amerykańsku

Czy sportswashingiem nie było przyznanie organizacji mistrzostw świata w piłce nożnej Rosji w 2018 r., oddanie organizacji zimowych igrzysk olimpijskich w Soczi Putinowi w 2014 r.? Tak na marginesie: ta druga impreza miała pokazać Rosję jako nowoczesny, prężny, pełen swobód demokratycznych kraj. Zamiast poprawić reputację, igrzyska jeszcze bardziej Rosji zaszkodziły. Przy ich okazji wykryto państwową machinę niedozwolonego dopingu, co spowodowało zakaz startów rosyjskich sportowców w wielu dyscyplinach jeszcze przed pełnoskalową inwazją na Ukrainę.

Amerykanie też nie tacy święci. Igrzyska olimpijskie w Atlancie (1996 r.) były wyraźnie zrobione pod Coca-Colę, której centrala ma w tym mieście siedzibę. Globalny koncert, który zalał świat swoim słodzonym napojem i do jego reklamowania zaprzął nawet św. Mikołaja w czerwonym kubraczku, widocznie potrzebował jeszcze sportswashingu.

Słowo *sportswashing* ma wydźwięk pejoratywny. Jeśli chodzi o prawa człowieka, sporo na sumieniu mają Chiny. Czy może dziwić, że organizowały igrzyska olimpijskie zarówno zimowe, jak i letnie? A może nie przykładać do tego pojęcia negatywnych wartości, bo jest to po prostu normalne zjawisko?

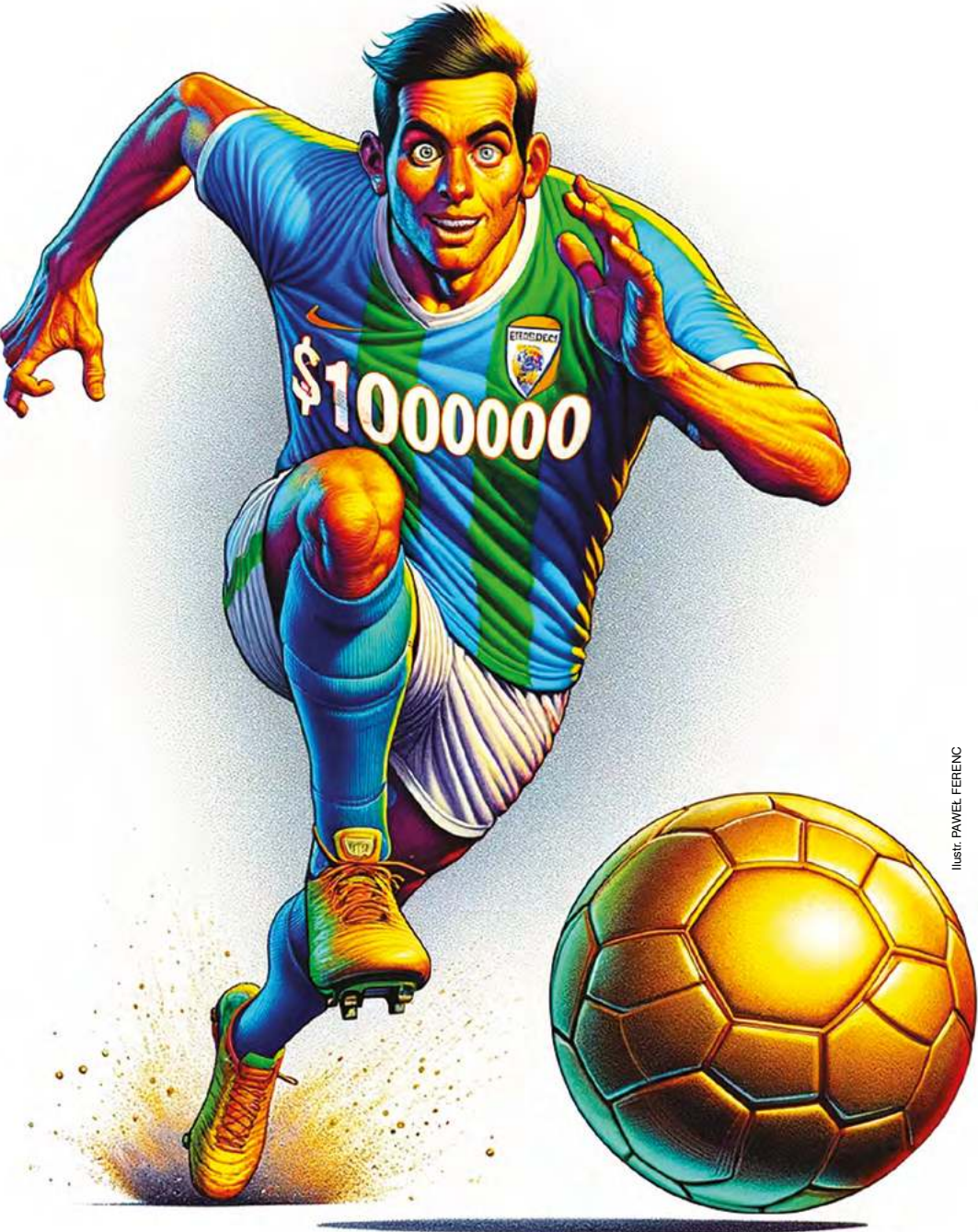
Przykłady można mnożyć, sięgając choćby do czasów przedwojennych igrzysk olimpijskich w Berlinie łucznie otwieranych przez Adolfa Hitlera czy piłkarskich mistrzostw świata we Włoszech Benita Mussoliniego. Nawiasem mówiąc, piłkarski superpuchar Włoch między Juventusem a Parmą odbył się w 2002 r. w Libii rządzonej przez Muammara Kaddafiego.

Czasem wygląda to nawet trochę zabawnie. Wenezuela, która jest gospodarczo niemal bankrutem, organizuje kolarski wyścig dookoła swojego kraju. Wyścig dookoła Kuby już przestał istnieć, zabrało forsę. Katarowi dzięki pokładowi ropy i gazu pieniędzy nie brakuje. Dlatego mógł zaprosić kolarzy na mistrzostwa świata. Była to dla zawodniczek i dla zawodników mordega. Jazda w potwornym upale sprawiała, że na trasie wypijali hektolitry napojów.

Ronaldo za petrodolary

Faktem jest, że w ostatnich latach kraje arabskie ze sportu uczyniły sprawne narzędzie polityki. Nikt pod tym względem nie może się z nimi równać. Na półwysep zawiąły samochodowe wyścigi Formuły 1 (Grand Prix Abu Zabi i Grand Prix Arabii Saudyjskiej). Dzięki Idze Świętek i Hubertowi Hurkaczowi pasjonujemy się wysokiej rangi turniejami tenisowymi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i w Katarze. Nawet piłkarzy ręcznych zaproszono na mistrzostwa świata, a Katarczycy stworzyli swoją reprezentację z graczy sprowadzonych z zagranicy. Jestem pewien, że któreś z pustynnych i gorących państw zorganizuje narciarskie mistrzostwa świata, gdy tylko opracuje technologię naśnieżania piaszczystych wydm.

Mamy świeżo w pamięci futbolowy mundial w Katarze ze wszystkimi jego plusami i minusami. Wśród tych drugich na czoło wybijał się klimat. Na Półwyspie Arabskim w piłkę można grać tylko zimą, i to na klimatyzowanych stadionach. Te stadiony to też nie powód do chwały. Rzeczywiście



ILUSTR. PAWEŁ FERENC

imponowały, ale świat obiegały informacje o fatalnych warunkach, w jakich pracowali sprowadzeni z zagranicy robotnicy, nawet o ofiarach śmiertelnych. Doniesienia te w końcu ucichły, mistrzostwa przeniesiono na grudzień, rozbijając przy okazji ligowe kalendarze europejskich krajów. Można było ogłosić sukces.

Jednym z argumentów decydujących o przyznaniu mistrzostw Katarowi była chęć spopularyzowania piłki nożnej w krajach arabskich. Została tak skutecznie spopularyzowana, że mundial w 2034 r. zorganizuje Arabia Saudyjska. Nawiasem mówiąc, po wycofaniu się Australii monarchia nie miała kontrkandydata.

„Piłka nożna jednocy świat jak żaden inny sport. Mistrzostwa świata to idealna wizytówka dla zjednoczenia i integracji. Różne kultury mogą być razem” – podsumował wybór Arabii Saudyjskiej prezydent FIFA Gianni Infantino. Trudno oprzeć się wrażeniu, że podobne słowa mogłyby paść przy okazji wyboru na gospodarza Australii, tym bardziej że miała organizować imprezę wspólnie z Indonezją, Malezją i Singapurem.

Pierwszym krokiem do budowania popularności futbolu w Arabii Saudyjskiej było wspomaganie wielkich pieniędzy w tamtejszą ligę zawodową, o której wcześniej mało kto słyszał. Kupiono wielkich piłkarzy z Cristianem Ronaldo i Karimem Benzemą na czele, o czym nie tylko my w „NIE”, ale cały świat szeroko się rozpisywał. Uczciwie trzeba przyznać, że każda drużyna ma obowiązkowo wystawiać określoną liczbę miejscowych graczy, co ma podnieść na wyższy poziom saudyjski futbol.

Sumy, jakimi są kuszone gwiazdy do ligi saudyjskiej, osiągają takie poziomy absurdu, że ci piłkarze, którzy nie dają się skusić i pozostają w Europie, uznawani są niemal za bohaterów.

Saudi Professional League jest tak naszpikowana gwiazdami, że jej mecze pokazywane są teraz na

całym świecie. Wybrane spotkania możemy oglądać także w Polsce. Dzięki temu widzimy, że są to jak gdyby rozgrywki dwóch prędkości. Różnica między sprowadzonymi za petrodolary zawodnikami a miejscowymi graczami jest wyraźna.

Sierpowy za dziesięć baniek

Oczywiście Arabowie nie mogą nie zauważyć zainteresowania sportami walki. Zapraszają na ring najbardziej popularnych bokserów i przedstawicieli MMA. Wszyscy zgadzają się chętnie, bo nawet porażka gwarantuje spory przelew na konto.

Tydzień temu w Rijadzie stanęli naprzeciw sobie bokser wagi ciężkiej Anglik Anthony Joshua, specjalista od efektownych nokautów, i były mistrz UFC w tej samej kategorii, Francuz o kameruńskich korzeniach Francis Ngannou. Obu zaproponowano gaźę w wysokości 10 mln dolarów, nie licząc bonusów od sponsorów. Dużo za te pieniądze ubrani w długie białe kandury widzowie się nie naoglądali, bo już w drugiej rundzie Joshua powalił rywala takim prawym sierpowym (walka do obejrzenia na YouTube), że nie było czego zbierać. Joshua lubi latać do Arabii Saudyjskiej. Poprzedni pojedynek odbył też w Rijadzie w grudniu ubiegłego roku.

Snooker dla szejka

A co z tą zapowiedzianą na wstępie złotą bilą? Czy to tylko prymitywny dziennikarski chwyt mający na celu zachęcenie Czytelników do przeczytania całego tekstu? Nie, złota bila pojawiła się naprawdę na snookerowym stole podczas historycznego turnieju w Rijadzie. Historycznego, bo po raz pierwszy do arabskiego kraju przylecieli pograć najlepsi snookerzyści świata. Turniej, który na zasadzie podpisanej umowy z międzynarodową federacją powtarzany będzie co roku, nie

liczy się do rankingu profesjonalistów, nie można podczas niego zdobywać punktów, ale wysokość nagród sprawiła, że nikt z czołowej dziesiątki nie zrezygnował ze startu. Właśnie podczas tego turnieju nazwanego World Snooker of Masters pojawiła się złota bila.

W standardowym jednym podejściu do snookerowego stołu można zdobyć najwięcej 147 pkt. Jest to tzw. maksymalny break. Przed wyczyszczeniem stołu zawodnik po wbiciu każdej czerwonej wbija najwyżej punktowaną czarną. W Rijadzie maksymalny break wynosił 167 pkt., bo wiem na stole pojawiła się dodatkowa złota bila warta 20 pkt. I jeszcze pół miliona dolarów! Prawo do jej wbijania przysługiwało jednak dopiero po osiągnięciu – nazwijmy go tak – tradycyjnego maksymalnego breaka. W chwili, w której wbiecie maksymalnego breaka okazywało się niemożliwe, czyli zwykle już na początku każdej partii, sędzia zdejmował ze stołu złotą bilę.

Moja redakcyjna koleżanka Agnieszka Wołk-Łaniewska nie tylko pasjonuje się snookerem, ale także trenuje ten sport. Nie mam podstaw do kwestionowania jej umiejętności, ale jestem pewien, że maksymalnego breaka nigdy nie wbiła; to naprawdę wielka sztuka. Genialny Ronnie O’Sullivan, siedmiokrotny mistrz świata i idol Agnieszki, zaledwie 15 razy podczas całej kariery popisał się takim zagranieniem. Do niego należy także inny rekord: najszybszego breaka maksymalnego. Potrzebował do tego 5 min i 20 s.

Złota bila to niejedyna regulaminowa zmiana wprowadzona podczas turnieju w Rijadzie. W snookerze obowiązuje swoista elegancja. Wypastowane buty, kamizelka garniturowa, koszula po długimi rękawami, muszka. O ile w większości dyscyplin strój ma ułatwiać występ, o tyle w snookerze nikt się wygodą zawodników nie przejmuje. Tymczasem w Arabii Saudyjskiej do stołu podchodziło się w koszulkach typu polo, co więcej – na plecach widniały wypisane nazwiska zawodników, jak w futbolu. Tylko na sportowe obuwie nie było zgody.

Turniej wygrał – któż by inny? – Ronnie O’Sullivan po finale z aktualnym mistrzem świata Belgiem Lucą Brecelem. O’Sullivan odgrażał się przed turniejem, że znajdzie złotą bilę, gdziekolwiek by stała na stole. Nie znalazł.

Najbliższy tego w jednym ze spotkań był John Higgins, ale w decydującym momencie zdrząła mu ręką.

Byłem ciekaw, co stanie się z półmilionową nagrodą. Czy zostanie przeznaczona na jakiś cel charytatywny, czy może raczej szejk, który ją ufundował, wpłaci pieniądze z powrotem na swoje konto? Nic z tego, okazało się, że ze złotą bilą jest trochę tak jak z kumulacją w lotto. Skoro nikt nie trafił, przechodzi do następnego turnieju. Za rok złota bila będzie warta już milion dolarów.

Igrzyska Sasina

Na koniec zostawmy w spokoju Arabów z ich pieniędzmi i problemami. Spójrzmy wokół siebie. W minionym roku odbyły się w Krakowie i okolicach igrzyska europejskie, impreza reklamowana jako najważniejsze wydarzenie sportowe na naszym kontynencie. O jego randze może świadczyć fakt, że na czele organizatorów stanął wicepremier rządu Rzeczypospolitej Jacek Sasin. To nic, że imprezą nie interesował się pies z kulawą nogą, pochłonęła duże (i chyba nie do końca rozliczone) środki, ważne, że mieliśmy igrzyska. Kto przed nami organizował europejskie igrzyska? Inne demokratyczne kraje: Azerbejdżan i Białoruś. Widocznie i im były do czegoś potrzebne.

Pisowska władza zasmakowała najwidoczniej w sportswashingu, bo prezydent Andrzej Duda zapowiedział, że rozpoczynamy starania o organizację igrzysk w 2036 r. Na szczęście przyszły wybory 15 października minionego roku i już zapowiedziano, że podobne rojenia możemy sobie wybić z głowy.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny,

Waldemar Kuchanny – redaktor naczelny,

Edyta Baker – sekretarz redakcji, Agnieszka Wołk-Łaniewska

– redaktor prowadzący, Małgorzata Daniszewska,

Idalia Dubicka, Bożena Dunat, Robert Jaruga,

Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska,

Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski,

Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.

E-MAIL:

NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto: str. 1–16 – 13.03.2024 r.

SŁÓWKA POŁGŁÓWKA

– Czemuż ten cesarz Czech ma taką czczą cechę? – mówił do lustra w łazience marszałek Szymon Hołownia, zwracając uwagę na właściwy owal ust. – Czy trzy cytrzystki grają na cytrze, czy jedna płacze, a druga łyzy trze?

– Szczoteczka szczoteczce szczebioce coś w teczce – odpowiedziało odbicie Hołowni i dodało: – Sześcionogi szczwany trzmiel beczelnie szeleścił w szczawiu, trzymając w szczękach strzęp szczypioru i często trzepocząc skrzydłami.

Hołownia podniósł ręce w międzynarodowym geście kapitulacji.

– Dobra – wyartykułował. – Szło mi, szło, aż się zesrało. Afera z tym gówniarzem, a do tego lewica i aborcja...

W lustrze pokazało się na sekundę oblicze posłanki Anny Marii Żukowskiej.

– Wypierdalać – zdążyło powiedzieć, zanim zniknęło.

A przecież marszałek sejmu robił wszystko, co robić powinien: spał osiem godzin na dobę, z rana pił pół szklanki soku z cytryny, wygłaszał mowy do dziennikarzy, używając więcej niż trzystu słów *basic polish*, tego koalicyjanta poklepał po ramieniu, tamtego po plecach, a rywala politycznego karcił za brak manier. I za to miał wypierdalać?

– Nie mogę popierać zabijania nienarodzonych! – jęknął.

– Dlaczego nie? – zapytało lustrzane odbicie. – Jeśli chcesz zostać prezydentem wszystkich Polaków, to musisz trochę popierać zabijanie nienarodzonych, a przynajmniej go nie potępiać.

– Większość Polaków popiera skrobanki – przypomniało oblicze Żukowskiej, które na moment zabłysło w zwierciadle.

– Trzeba mieć kręgosłup moralny – rzekł Hołownia, hardo stawiając czoło lustrzanym majakom. – Etyczny stos pacierzowy.

– Właśnie, pacierzowy... – westchnął poseł Michał Kobosko, który nagle pojawił się w łazience. – To, co było dobre wczoraj, dziś jest słabe, a jutro będzie bardzo słabe.

Marszałek przetrawił słowa Koboski. Chciał wypłuć, ale w końcu z trudem je przełknął. Poczuli nudności.

– Maszeruj albo giń, jest taka zasada w Legii Cudzoziemskiej – ciągnął Kobosko. – W twoim przypadku można powiedzieć: maszeruj albo wypierdalać.

Hołownia zagryztał zębami. Był gotów maszerować dzień i noc, w skwarze i mrozie, w pyłe i gradzie.

– Szedł Sasza suchą szosą – rzekł i zachwyciła go ta nienaganna dykcja.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN narzeka na zdrowie.
AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA ma dla niej poradę zdrowotną.

Senyszyn: – Na jakie dolegliwości ta rada?
Wołk-Łaniewska: – Na wszystkie.

– Nie wiedziałam, że wierzysz w cuda.
A od kogo ta cudowna recepta?
– Od Ukrainca z ubera.

– Zamieniam się w słuch.
– Otóż mój Ukrainiec był w Armii Czerwonej za kołem podbiegunowym i był zdrowy jak rydz. A potem wrócił do domu i dostał raka. I przeczytał czy usłyszał, że na raka najlepsza jest wódka z olejem słonecznikowym. I teraz trzy razy dziennie wypija trzydziestkę gorzały zblendowaną z 30 gramami oleju słonecznikowego – i znów jest zdrow. Dziesięć dni pije, potem pięć przerwy i znowu dziesięć picia. Na inne choroby też pomaga.

– Raczej do chorób prowadzi.
– Nie przesadzaj.

– Ani trochę. Alkohol jest czynnikiem ryzyka aż 61 chorób i rocznie zabija ponad 3 mln osób, nie licząc alkoholizmu i tych, którzy giną w wypadkach samochodowych spowodowanych pod wpływem. A ten twój uberowiec, jak cię wioził i zdradzał tajniki swojego rzekomego uzdrowienia, to był trzeźwy czy akurat w trakcie kuracji?

– Oj tam, nie bądź taka małostkowa. Zmieniając temat: ja w zasadzie podzielałam emocje Żukowskiej na temat Hołowni – tym niemniej, kiedy przewodnicząca klubu parlamentarnego na portalu społecznościowym pisze do marszałka sejmu „wypierdalać z tym spokojem”, to myślę sobie, że jakiś filtr by się Annie Marii przydał.

– Dodatkowy? A po co? O ile wiem, wyroby monopolowe są filtrowane. Może by wystarczyło, gdyby przed pisaniem się nie leczyła.
– Nie mów...

– Co poradzę, że tak i mówią, i piszą?
– To przywodzi mi na myśl innego wybitnego polityka lewicy, który kandydował swego czasu na prezydenta Warszawy i na Twitterze nazwał jednego z kontrkandydatów chujem. Obchujany kontrkandydat zareagował pogodną radą: „Piłes – nie pisz”. Nie wiem, czy pamiętasz, ale Czarzasty cofnął wówczas Celińskiemu rekomendację.

– Żukowskiej by nie cofnął. Pcha ją, gdzie może i gdzie nie może. Niedawno do KRS, bo tam dobrze płacą. Ubawiłam się, kiedy komentując ten wybrzyk, Czarzasty powiedział, że każdy bierze odpowiedzialność za swoje słowa, bo wszyscy wiedzą, że dla niego Anna Maria to nie każdy. Żeby zapunktować, część klubowych kolegów i koleżanek nawet ją chwaliła. Takie są lizusowskie zwyczaje w tym klubiku.

– Dramat Anny Marii zdaje się polegać na tym, że jest za mało charyzmatyczna na polityka ulicy i za mało wychowana na polityka salonów. Poza

tym chyba nie przecenia waloru myślenia przy pisaniu. Swego czasu zachwyciła mnie uwagą zaadresowaną „Panie kanczeru Scholz”, gdzie pouczyła szefa rządu niemieckiego, że trzeba się Ruskim stawiać, bo poprzednim razem „nie zatrzymali się na linii Bugu, tylko doszli do Berlina”. Powiem ci, że uznanie zdobycia Berlina przez Rosjan w 1945 r. za coś negatywnego nieco mnie zaskoczyło. Nie mnie jedną zresztą. Ktoś jej wtedy odpisał na Twitterze: „Jakby Rosjanie w 45 nie doszli do Berlina, to pani by dziś nie mogła obchodzić Chanuki...”.

– Dla wielu głupie i chamskie wypowiedzi to jedyny sposób na zaistnienie w mediach.

– A wracając do wyborów samorządowych: oczarowała mnie wieść, iż profesor Tomasz Nałęcz kandyduje z listy PO do rady dzielnicy Wawer. Były wicemarszałek sejmu, były doradca prezydenta RP, były szef pierwszej w historii polskiego parlamentaryzmu komisji śledczej – radnym z Wawra.

– Może ma dość tego „byłego” i pragnie być kimkolwiek, byle aktualnym. A może postanowił pójść w ślady emerytowanego abp. Głódzia, który jest sołtysem...

– Zapomniałam dodać, że prof. Nałęcz wywalczył sobie na liście silne trzecie miejsce. Startuje pod hasłem „Sąsiad z Marysina”.

– Hasło prosto z Hollywood. Obsadzanie w filmach wyłącznie przystojnych dwumetrowych aktorów i pięknych aktorek z biustem w rozmiarze 5XL spowodowało kompleksy amerykańskiej prowincji, która w przeważającej mierze jest niska i płaska. Żeby uleczyć społeczeństwo, kino postawiło na chłopaków i dziewczyny z sąsiedztwa, co zaowocowało wylansowaniem m.in. Dustina Hoffmana, który ma metr sześćdziesiąt pięć.

– „Nałęcz, polski Hoffman, twoim radnym”...

– Nie mówmy hop. Może go nie wybiorą. Wiosną 2015 r. ówczesny poseł Bauć z Ruchu Palikota kandydował do rady jednej z dzielnic Gdańska. Dostał osiem głosów.

– Widać rodzinę ma małą. Wracając wszakże do źródła uniesienia przewodniczącej Żukowskiej, czyli aborcyjnego kunktatorstwa: Polsat wygrzebał z odmętów przeszłości Adama Strzembosza. Straszny dziadunio, który zawodowo uchodził za autorytet, bo nie lubił PiS, został zapytany o spór aborcyjny. Odparł dziarsko, że kobiety „mają prawo decydować o swoim ciele, ale wtedy, kiedy to jest ich ciało”. I dodał błyskotliwie, że „jeżeli ktoś chce sobie obciąć palec albo wyrwać ząb, to proszę bardzo, chociaż nie wiem, czy znajdzie dentystę, który bez żadnego uzasadnienia będzie wyrwał zdrowe zęby”. Zapytany o Francję, która wpisała prawo do aborcji do konstytucji, odpowiedział, że za rewolucji francuscy żołnierze nosili ubrania z ludzkiej skóry.

– To argument, który z powodzeniem mógłby zastąpić słynne, ale dziś bardzo niepoprawne politycznie: „A u was to Murzynów biją”.

– I jeszcze Strzembosz pochwalił Gomułkę.

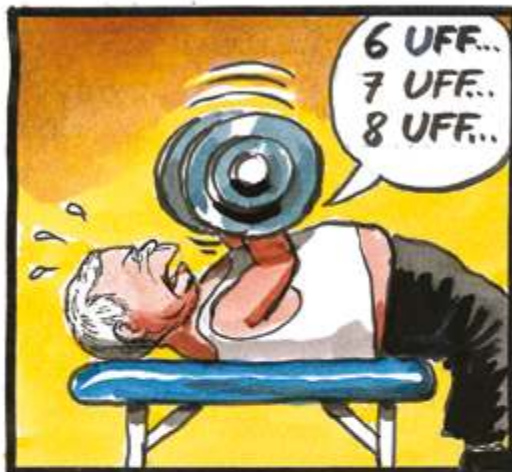
– Jak Zoszczenko Lenina w opowiadaniach o wodzu rewolucji październikowej.

– Faktycznie, Strzembosz ogłosił, że aborcja na życzenie nie istniała nawet za czasów Gomułki, bo tam trzeba było podać dobry powód, a „przynajmniej ludzono nas, że powód musi być poważny, a nie wyjazd na stypendium albo ułożenie sobie życia”. Bo jak wiadomo, edukacja kobiet, że już nie wspomnę o ich szczęściu osobistym, to powody zgoda blaha.

– Dla większości mężczyzn z pokolenia Strzembosza, rocznik 1930, nawet więcej niż blaha: niegodne uwagi. Pewnie i tabletki „dzień po” by zakazał, jak dziadersi, których życie erotyczne zaczyna się po tabletkach „godzina przed”.

senyszyn@wp.pl
wolkaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 290



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI